



## PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIEĆ.

### Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

### Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG.**

EKSPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

## POGA WĘDKA.

— Czy uważasz pan — mówił do mnie pewien amator statystyki — jak pewne wypadki zdarzają się grupami?... np. pożary teatrów, pożary lasów, samobójstwa, śmierci znakomych ludzi, sensacyjne morderstwa, wykolejanie się pociągów, zawałenie mostów lub domów itp. Zdawałoby się, że jest w tem jakieś wyjątkowe prawo i jakiś związek, którego właściwej przyczyny jeszcześmy nie zbadali, ale kto wie, kto wie... może powoli i na nią wpadniemy...

— Naturalnie, o ile to dotyczy człowieka i pewnych pobudek psychologicznych — odrzekłem — da się to wytłómaczyć działaniem pewnych wpływów, sugestyi, i modnemi dziś teoriami naukowemi, ale gdy będzie chodziło o mosty, lasy lub teatry, trudniej będzie do rzeczy martwych stosować takiesamo prawo, jak do ludzi.

Zaczęliśmy na ten temat prowadzić rozmowę i zastanawiać się szczególnie nad grupą wypadków kryminalistycznych, które w ostatnich czasach tak żywo zajęły opinię publiczną.

Co prawda, nie same wypadki zbiegły się z sobą, ale ich ostatnie konsekwencye przed kratakami sądowemi; mieliśmy oto kilka głośnych i ciekawych processów, których sprawozdania zapiełniały szpalty naszych dzienników ostatnie echa sprawy Skublińskiej, świeży wyrok w sprawie Noskinowej, która w Wilnie utrzymywała mordownię dzieci i z zawodu trudniła się zgładzaniem niemowląt ze świata; dalej proces współników Pawlaka i Wyrostkiewicza, którzy dwóm zbrojom pomagali do zatarcia śladów po sobie i wymykania się rękami sprawiedliwości; proces dwóch nieletnich morderców, co dla grabieży zabili ko-

bięte z wytrawnością doświadczonych bandytów, a na ostatek zbrodnię niezwykłą, jako fakt i jako objaw.

Nie myślę powtarzać szczegółów morderstwa przy ulicy Wspólnej, które rozniosły już swym czytelnikom wszystkie pisma codzienne.

Zabiła kobieta kobietę, w celu grabieży; obie należały do sfer mieszczańskich, zamożniejszych, oświecenijszych; morderczyni i jej ofiara były matkami, w wieku już poważniejszym; jedna piątą, druga szóstą krzyżyk nosiła na sobie, jedna i druga przedstawiały w swoim rodzaju typy pewnych moralnych zbroceń i nerwowego rozstroju, który w zabitej dochodził do manii, w zabójczyni do zaburzenia zmysłów. Z wielu względów wypadek ten budzi wyjątkowe zajęcie, jako przyczynek do patologii cielesnej i duchowej naszego wieku, jako ilustracya pewnych stosunków towarzyskich u nas, zakażonych ukrytym trądem demoralizacyi.

Przywykliśmy przy nadarzonej sposobności oburzać się na „zgniły Zachód“, na jego zepsucie i skażenie obyczajów, na jego chorobliwy rozstrój i newrozę, a niestety, coraz częściej podobne objawy w naszym własnym organizmie się mnożą.

Wobec tego, czy nie właściwszem-by było, zamiast zastanawiać się nad potrzebą moralnego odrodzenia i uzdrawiania obcych społeczeństw, nad analizą obcych stosunków i biadaniem nad upadkiem, wyrodnieniem, wynaturzaniem się innych, wejrzeć w siebie i nie czekać na zwrot korzystniejszy na Zachodzie, ale tę reakcyą przezornie zacząć od siebie samych, widząc niebezpieczeństwo, które nam grozi?... czy nie lepiej-by było starać się o zbadanie własnego organizmu i rozpoczęcie wielkiego zadania samo-lecznictwa, a przynajmniej zastosowania na razie środków prezerwatywnych, któreby tkwiącym już zarodkom moralnej zarazy nie pozwoliły rozwinąć się za bardzo?...

Chłoniemy tymczasem dalej z całą samowiedzą i z całą biernością wszystkie szkodliwe miazmata, i z całą kądkielkiem wiatr przynosi i pozwala-

my na to, aby w nas wsiąkały, tłómacząc się fatalnością „choroby wieku“, która swoje epidemiczne prawo spełnia.

Ależ i przeciw epidemiom są środki, są kwarantanny, są sposoby.

Zdawałoby się, że w epoce sugestyi, tak łatwym i prostym byłby środek leczniczy przez poddawanie pewnych zdrowych myśli zamiast chorobliwych, przez skierowywanie woli ku dodatnim zamiast ujemnym celom, przez poddawanie siły, zamiast jej paraliżowania w jakimś hypnotycznym steżeniu i bezwładności.

Niestety, tego się nie robi tak, jakby należało.

Dla przyszłego badacza naszej epoki współczesna nam prasa i literatura dostarczą ciekawego materiału do oceny i wniosków, które sprawiedliwiej zapewne wypadną dla nas w perspektywie czasu, aniżeli w teraźniejszości.

Twórczość każdego ważniejszego okresu w dziejach społeczeństw odbija najbardziej znamienne rysy tego ducha, który organizm społeczny przejmował i ożywiał w danej chwili.

Chciałbym się zbudzić za jakie lat pięćdziesiąt i przeczytać studjum o końcu dziewiętnastego wieku; przypuszczam, iż wtedy krytycyzm piszących będzie dojrzałszy i głębszy, niż jest dzisiaj, a przynajmniej niezamącony rozmaitemi domieszkami teoryjek, doktryn i względów małoszkolnych.

Słyszałem z ust pewnego poważnego obserwatora naszych stosunków i człowieka myślącego takie zdanie:

— Twórczość naszych czasów nie jest szczególnie, ale mimo-to godną jest lepszej krytyki, niż ta, jakiej dzisiaj podpada.

Ucieszyłem się też prawdziwie objawem sprawiedliwszej i zdrowszej reakcyi w tym kierunku, przeczytawszy w podobnym sensie napisany artykuł p. Jozafata Nowińskiego w ostatnim zeszycie „Ateneum“ p. t.: „Kilka słów o naszej krytyce“.



Autor z nieznaną jeszcze firmą, ale godną zapamiętania po tym pierwszym artykule, zajmuje się głównie jednym odłamem krytyki, a mianowicie tylko krytyką literacką, obejmuje ją i przenika bystrym rzutem oka, charakteryzuje dosadnie jej przedstawicieli i argumentami dowodzi tezy swej, iż krytyka u nas upada, że nie spełnia należycie swego zadania, bo brak jej kardynalnych warunków: bezstronności, gruntowności i znawstwa.

Co prawda, zarzuty te powtarzają się mniej więcej stale w każdym okresie; zawsze się znajdowali i znajdują muszą ludzie, którzy krytyce odmawiają wszelkich cnót i nie przyznają żadnych zasług na razie. Przez porównanie wszelako daje się ocenić: o ile krytyka współczesna jest lepszą, lub gorszą od dawniejszej; co po sobie pozostawi i z jakich składa się czynników.

Pod tym względem krytyka dzisiejsza nie wytrzymuje krytyki i musi ustąpić dawniejszej, która miała choćby tę wspólność nad nią, iż była zawodem ludzi powołanych, a nie przygodnych najmitów pisarskich i samozwańców; że kompetencyi swojej dowodziła i przygotowaniem większym, i studjami, i wykształceniem, i poczuciem godności, szacunkiem dla własnego powołania, umiłowaniem jakichś idei, w imię których wydawała sądy swoje.

Nie była i ona bez wad, miała także swoje słabostki, swoje przywary, swoje sympatyjki, ale na usprawiedliwienie ich i na okupienie miała też stokrót więcej od dzisiejszej argumentów i zalet.

P. Nowiński jest krytykiem krytyków surowym lecz sprawiedliwym w głównych przynajmniej zarzutach; nie wiem jakimby był sam, gdyby mu przyszedł stanąć w ich rzędzie i oceniać cudzą twórczość, ale przypuszczam, iż z takim pojęciem o zadaniu krytyki, jakie posiada, powinienby zająć stanowisko wydatniejsze.

Nabytek dla każdego poważniejszego pisma takiej młodej i świeżej siły byłby pożądanym...

Nie jest to łatwe ani miłe zadanie być krytykiem, zwłaszcza gdy nie można chwalić, a trzeba ganić z obowiązku.

Przekonałem się o tem niejednokrotnie, ostatni zaś raz po dwóch popisach szkoły dykeyi i deklamacyi przy Towarzystwie muzycznym, które odbyły się tego roku z niemałą pompą na scenie Rozmaitości, zamiast w mniejszej sali reductowej.

Kierownikami i nauczycielami w tej szkółce są pp. Kotarbiński i Szymanowski, uczniami i uczennicami ludzie młodzi, którym się zdaje, że potrafiwszy jako tako wygłaszać wiersze, nabędą już najważniejszej kwalifikacyi do—zawodu dramatycznego.

W tem właśnie tkwi największa i najniebezpieczniejsza pomyłka.

Nauka deklamacyi nie może zastąpić szkoły dramatycznej w jej właściwym znaczeniu; to tylko jeden przedmiot w programie takiej szkoły, takiego konserwatorium, jakie istnieją zagranicą a jakich niema u nas wcale.

I brak ten daje się odczuwać w młodym pokoleniu artystów, które wchodzi na deski surowe, nieprzygotowane, lub zmanierowane terminatorstwem prowincjonalnym w zawodzie aktorskim.

Dobra szkoła przydałaby się niewątpliwie, ale jej dotąd niema nawet komu założyć.

Pp. Kotarbiński i Szymanowski, jako artyści dramatyczni, uczą poprawnej wymowy i deklamacyi w szerszym trochę zakresie, nie przestając na tem, by recytowano w ich klasie wiersze z mniejszym lub większym zrozumieniem; specjalizują przeto swoją naukę i starają się rozwijać w swych uczniach pewne napotkane zadatki uzdolnienia scenicznego, mając na względzie pożytek, jakiby z czasem, ewentualnie mogła mieć z tego scena.

Ma to swoją dobrą stronę, ale ma i złą, bo przy tych próbach rozbudza się często nieusprawiedliwione ambicje artystyczne, wytwarza zastęp rekrutów Melpomeny, którzy marzą o laurowych wieńcach i świetnej przyszłości a często nie posiadają nawet warunków na figurantów scenicznych.

Teatr ma i tak dużo ponęty dla młodych ludzi, którym się marzy, że gdyby tylko dostali się za

kulisy, to—hohol... niczem Maggi lub Modrzejevska.

Otóż pomóż prawdziwym zdolnościom, rzeczywistemu nie urojonomu talentowi, szczeremu zamiłowaniu do sztuki w takich razach, to zasługa,—ale pobłażliwie upoważniać do tego pierwszych lepszych pod firmą szkoły, to już nie zasługa, lecz co najmniej wielkie ryzyko, za które nie powinno się przyjmować odpowiedzialności.

I pod tym właśnie względem ostatnie popisy uczniów i uczennic „klasy deklamacyi przy Towarzystwie muzycznym“ wzbudziły w trzeźwiejszych głowach pewne wątpliwości; czy podobna, aby doświadczeni kierownicy tej klasy nie spostrzegli sami, iż z tego materiału, któremu pozwolili się kształcić przez całe dwa lata i popisywać nareszcie publicznie, niepodobna wykrzesać ani iskry talentu? że ci dyletanci pozostaną całe życie dyletantami i nie wyrosną po nad poziom bardzo zwyczajnej mierności?...

Jeżeli tego nie zauważyli pierwsi, to źle; jeżeli zauważyli, to tem gorzej, że pozwolili na naukę w takim kierunku i urządzili popis, na którym nie było się czem popisować, bo chyba brakiem kardynalnych warunków na dobrego aktora lub aktorkę.

Jakaż jest na to rada, aby uniknąć nadal takich pomyłek? Jest, mojem zdaniem, w reformie szkoły; przyjmowanie tylko prawdziwie uzdolnionych kandydatów, a zwłaszcza kandydatek, a z tych deklamatorów i deklamatorek *in spe* po egzaminie w obec komisji dopuszczanie tylko wyjątkowo utalentowanych do wyższego kursu, na którymby nauka dykeyi i deklamacyi zastosowaną była i do gry scenicznej w dyalogach i scenach zbiorowych.

To trzeba zrobić koniecznie, aby się nie przewracalo w głowie młodym pannom i mężatkom, przekonanym, że mogą zaraz zająć opróżnione miejsca po Bakałowiczowej, Modrzejowskiej lub Popielównie, skoro tylko wdzieją na siebie rzymski kostium albo nauczą się ćwierkać naiwnie wiersze Ely...ego lub Lenartowicza.

Młodym paniczom zaś, którzy mają własny kawałek chleba, albo jakiś zawód w ręku, należałoby wyperswadować, że lepiej jest być dobrym szewcem w życiu, niż liłym księciem na scenie, ogródkowej w dodatku.

*Ne sutor supra crepidam.*

Cheecie wiedzieć co to znaczy i z kąd się to wzięło, to posłuchajcie, co mówi „Księga przysłów, sentencyj i wyrazów łacińskich, używanych przez pisarzy polskich“, ułożona przez p. Leopolda Czapińskiego.

Są to słowa greckiego malarza Apellesa, wyrażone z następującego powodu: Apelles ukończywszy jeden z obrazów, wystawił go na widok publiczny, sam zaś ukrył się za płótnem w zamiarze wysłuchania mowy osób odwiedzających. Otóż gdy jakiś szewc skrytykował obuwie, malarz je poprawił i obraz wystawił po raz drugi. Szewc, ośmielony takim powrotem owych uwag, zaczął krytykować błędy w całym obrazie, a wtedy Apelles, wyszedłszy z ukrycia, zawołał: *Ne sutor supra crepidam.*

Niechaj was nie przestrasza łacina i tytuł książki, obejmującej przeszło pół tysiąca stronnic; upewniam was, że jest bardzo zajmującą i ciekawą, a przedewszystkiem pouczającą.

P. Leopold Czapiński złożył w niej dowód mrówczej pracy; człowiek wykształcony, czytany a dziwnie skromny i cichy, przygotował dzieło, mające wartość trwałą, bo wypełniającą lukę w podręcznikach naukowych, popularnie pisanych. Kaszaniemienia Mianowskiego wspomogła to wydawnictwo i dzięki pracowitej jednostce oraz ofiarnej instytucji zyskaliśmy „Księgę“ pożyteczną dla wszystkich ludzi inteligentnych.

Autr zebrał pozostałą w spuściźnie po wieku makaronicznym poważną liczbę łacińskich przysłów, przypowieści lub zdań, zwięzłe a żywo wyrażających poglądy na świat, na życie i rozliczne jego stosunki, i podał obok nich tłumaczenia oraz objaśnienia, z kąd się wzięły, w jakim sensie są używane, co znaczą, a nadto przytoczył odnośne ustępy z naszych i łacińskich pisarzy.

Całkiem słusznie powiada, że z dziedziny literackiej te łacińskie ornamenta stylowe przeszły stopniowo i na poziom życia towarzyskiego i dziś

powtarzają je tysiące ust, częstokroć tylko mechanicznie oswojonych z ich brzmieniem, nie pojmując dokładnego ich znaczenia a tem mniej ich historycznej doniosłości,—co gorsza, nieraz stosując je fałszywie do danego faktu.

Na książkę p. Czapińskiego spoglądam z szacunkiem i uznaniem; ile dzieł musiał autor przewertować, ilu autorów dawnych i nowszych przytoczyć, aby cały ten ogromny materiał weisnąć w swój podręcznik, chcąc go mieć o ile możności dokładnym i pełnym!

Co prawda, zalecać komuś książkę o tej porze, gdy wiosna tysiączne pokuszenia rozłącza i wabi w pola, w lasy, w gaje, na kwietne łąki, pod cudne niebo, to trud zmarno wany.

Natura cała leży przed nami, jak księga otwarta, pełna przepięknych ilustracyj, w której każdy czytać potrafi choćby ten jeden tylko czarujący wyraz: „wiosna!...“

Na bruku miejskim mamy teraz początek karawatu letniego; wyścięgi się rozpoczęły, pogoda dopisuje, cykliści i wioślarze robią wycieczki łądem i wodą, po rozmaitych ogrodach koncerta, festiwale, zabawy kwiatowe wabią publiczność, Melpomena teatryki letnie pootwierza, tramwaj do Willanowa oblegany co niedziela i święta,—o luba, czegoż chcesz więcej?

— Czego?... pieniędzy!—odpowiada luba—pieniędzy, bez których te wszystkie rozkosze są dla mnie owocem zakazanym, winogronami zielonemi, szybką z okna, kaflą z pieca i gwiazdką z nieba!... pieniędzy!...

Ba, komuż ich nie brak, z wyjątkiem finansistów, którzy nie wiedzą, co z niemi robić, bo coraz mniej obrotu mają i na coraz niższy procent gotowi pożyczają, byle mieć pewność ewikcyi.

Słowo, któremu w sprawach ziemiańskich wierzyć trzeba, powiada: „Stosunki kredytowe rolników tak się zmieniły na ich niekorzyść, że dziś nie tylko o kredycie na zboże najbliższego plonu nikt nie śmie marzyć, lecz względnie do dawniejszych czasów nie wielu jest producentów, którzy sprzedali wełnę strzyży najbliższej.“

Nie jest to może takie nieszczęście, że panowie bracia zboża na pniu i wełny na baranie sprzedać nie mogą; w swoim czasie odbiją się jeszcze, ale słuszną zrobiono uwagę: co będzie robił kapitał, któremu ubyla lokacya, uważana dotąd za jedną z korzystniejszych?

Kapitał, zapewne, jak większość jego posiadaczy w sezonie letnim, zrobi wycieczkę zagranicę i tam odda się tanio, aby przy jego pomocy cudzoziemcy zarabiali 10 i 15%, a płacili 2.

Gdybyśmy mieli więcej ducha przedsiębiorczego i odważnej inicjatywy, moglibyśmy zarabiać na własnym gruncie choćby połowę tych zysków; ale nasz duży kapitał jest ciężki, jak słoń, stoi w miejscu, przestępując z nogi na nogę i co najwięcej trąbą rusza, którą zbiera smaczne—procenta.

Na spekulacje, na przedsiębiorstwa, na ryzyko pożyteczne dla siebie i dla drugich częściej odważają się u nas mniejsze kapitały w przemyśle i handlu.

I nie źle na tem wychodzą, gdy zbyt ślepo nie ryzykują.

Kolej wilanowska jest tego najświeższym dowodem.

Małemi udziałami dało się przyprowadzić do skutku przedsiębiorstwo, które się już dobrze opłaca; z początku trudno było namówić ludzi do lokowania swoich sturubłówek w wilanowskim tramwaju, a teraz jeden z bogatszych finansistów zakupił znaczną część akcji, inni zaś gotowi rozebrać drugą emisyją na przedłużenie toru do Jeziorny.

Szkoda tylko, że przy powodzeniu dobrze wróżącym o przyszłości przedsiębiorstwa obudziły się zaraz prywatne ambicje i drażliwości osobiste; kilku akcyonaryuszów zaczęło najniepotrzebniej w świecie spierać się publicznie o prawo zasługi w powzięciu projektu i jego uskutecznieniu, starając się obniżyć działalność p. p. Husa i Magnusa, wywlekając drobiazgi prywatnej natury na forum opinii po dziennikach.

Po co to?... co to kogo obchodzi?... tramwaj jest wprawdzie wygodą publiczną, ale znowu nie tak



wiekopomnem dziełem, aby miał pretensją do chluby i do wieńca laurowego.

Spółka akcyjna dobrym zrobi na nim interes i to jej wystarczać powinno; sprawy wewnętrzne, ito tak „subtelnej“ natury, kto pierwszy wynalazł drogę do Willanowa lub kto dał pierwszy wkład, są dla nas obojętne, dla nas płacących za kurs i korzystających z tramwaju.

Dobrze się stało, że go zaprowadzono; po co się o to kłócić, spierać, prawować i zajmować opinią publiczną drukowanymi epistolami...

Dajcie panowie raz pokój?...

Quis.

## WYCHOWANIE NASZYCH CÓREK.

L'éducation de nos filles par Jules Rochard. Paris. Hachette 1892.

(Dokończenie).

Po tych uwagach spotykamy najpraktyczniejszy ustęp praktycznej książki, w rozdziale o wychowaniu fizycznym. Autor wskazuje, że dziewczynki przyrodzoną odczuwają niechęć do ruchu, do zabaw głośniejszych, do przechadzek nawet, nad które przekładają spokojne w domu rozrywki. Ztąd też wychowawców zadaniem jest właśnie walczyć z owym usposobieniem i nie dać dzieciom wędznąć nad książką czy robotą w cieplarnianej atmosferze domów i mieszkań. Są dziewczynki, które i na wsi mało używają powietrza i ruchu, ulegając przyzwyczajeniu i przyrodzonej skłonności. Owo zasiedzenie, niekoniecznie z nadmiaru pilności powstające, daje początek licznym cierpieniom i słabościom, które otrzymały hurtową nazwę *chorób szkolnych*. Ogólne nadwątlenie, osłabienie wzroku, skrzywienie kości pancerzowej, anemia, — wszystko to skutki nienormalnie przepędzonych lat dziecinnych. Zbyt długie siedzenie na niewygodnych ławkach nieraz pociąga za sobą wygięcie charakterystyczne całej postaci. Pod tym zaś względem najgorsze skutki wywiera metoda pisania pochylego, co obecnie wywołuje powszechną reformę na korzyść pisma zupełnie prostego. Lekarze podają straszliwe liczby statystyczne, wykazujące, iż w jednej tylko szkole szwajcarskiej, na 700 uczącej się dziatwy 640 jest takich, na których widać już owo wygięcie charakterystyczne, wynikające z pochylania się ciąglego w jedną stronę przy pisaniu.

Rzecz dziwna! utalentowana powieściopisarka, pani Sand, pierwsza przed laty zadzwoniła na alarm, podnosząc hasło: *corps droit, écriture droite*, — prostego ciała, prostego pisma, — które dziś się uogólnia w nowych metodach szkolnych.

Jak wykrzywienie ramion dostrzegać można przeważnie u dziewczynek między 6-tych a 14-ym rokiem życia, tak znowu osłabienie wzroku częściej występuje u chłopców. Niemieccy lekarze obliczyli, iż u nich na sto uczących się dziewczynek bywa dziesięć do dwudziestu czterech krótko widzących, podczas gdy ów stosunek podnosi się do 60-ciu wśród chłopców. U panienek znów częściej występuje bladaczka, a wraz i suchoty, jeśli wychowawcy folgują ohoście unikania powietrza i ruchu.

Tu autor piorunuje — a dodajmy: w dość zabawny sposób — na komfort dzisiejszych mieszkań. Niedgdy wszędzie wiało, zatem istniała pewna równość temperatury między domem a dworem, jeżeli tylko nie było o wiele zimniej na dworze, niż w mieszkaniu. Teraz wszystkie drzwi i okna szczelnie się zamyka, sztuczne ztąd utrzymuje się ciepło, wystawiające stokroć bardziej na łatwość zaziębienia. Do tego dodać należy i firanki, portyery, opony, które D-r Rochard przeklina jako wygrzewalnie i schroniska kurzawy i mikrobow. Chciałby on wzbudzić w dzieciach rodzaj żądz i potrzeby orzeźwiania się chłodem, powietrzem czy wodą.

I znów jak wielu innych higienistów, sarka d-r Rochard na właściwą, ścisłą gymnastykę, przepisana jako jedna lekcyja więcej; poleca raczej zabawy gymnastyczne, stokroć korzystniejsze i zdrowsze, bo budzące zarazem i zapał, i wesołe spółzawodnictwo, i swobodę ruchów. Angielskie gry, przedewszystkiem modny *lawn-tennis*, dawniejsze *kółka*, *cztery kąty*, *sąsiad*, „*barry*“, *wolant*, a choćby i taniec, i huśtawka, gorącego w d-rze Rochardzie znajdują rzecznika. Precz z gymnastyką akrobatyczną, która nie daje siły ani członkom, ani rzeźwości duchowi! Raczej mnożyć wypadają gry wesołe i ożywiające zarazem moralną i fizyczną istotę. Dziewczynkom potrzeba ruchów umiarkowanych, lecz częstych.

Nie bardziej nie podkopuje — dowodzi Rochard — zdrowia, nad nierozważne i niewłaściwe odżywianie się; zabójcze są wszelkie łakocie w nadmiarze, szkodliwe zawsze dodatkowe raczenie się między jednym a drugim posiłkiem.

Okna powinny być naocież otwarte, zwłaszcza w sypialniach, ilekroć dzieci z nich wyjdą. Dziewczynki dobrze jest przyzwyczajając chodzić boso po rosie, angielską metodą, popartą dziś radami ks. Kneippa. Obuwie ich powinno być obszerne, a wyżki (obcasy) jaknajniższe. D-r Rochard bynajmniej nie potępia sznurówek, z dwoma tylko zastrzeżeniami: raz, aby do trzynastu lat niczem nie kępować kibici i wzrostu; a powtóre, ażeby i później nigdy nie ścigała gorsetu, ani nie nosić brykli zbyt twardych, wywierających nacisk na żołądek i jamę brzuszna.

Wogóle nie można dość zalecać swobody ubrania i jego lekkości, zwłaszcza w latach rozwoju. Wszystkie angielskie modele sukienek dziewczęcych służą za dowód, jak dalece oceniają tam przepisy higieny. Tam też przestrzegają najpilniej higienicznego ochędzstwa, używaniem codziennych kąpielii lub oblewań zimną wodą.

Teorya mikrobow dowodzi, iż tylko ścisłym a ogólnym myciem ciała i czystością można wyteplić zarazki mnożące się w brudzie i nieporządku. To też powszechnie dziś rozszerzono zakres codziennego umywania, a *tub* (beczka) angielska stanie się wkrótce ogólną potrzebą. Pod tym względem postęp widać ogromny. Wszakże jeszcze w pierwszym wieku naszego połowie nazywano arystokratów ludźmi o umytych rękach, coby dowodziło, iż obyczaj to był wyjątkowy, przywilej niemal kastowy. Dziś któż się zadawalnia czystością samych tylko rąk? Systemat tedy higienicznego wychowania u d-ra Rocharda przeważnie się zasadza na przepisach ruchu i ochędzstwa. Z jego rad co do utrzymania włosów, tej ozdoby głowy niewieściej, przytoczmy konieczność obechniania ich dziewczynkom przez pierwszych lat siedm. Owe wybujale zwoje, któremi matki się chełpią w dzieciach swoich, przedczesną stanowią vegetacyą, która wypadnie, kiedyby się najwięcej o nią dbało. Staranie o zęby dzieci nie może być dość pilnem, a także wymaga porządku i czystości przedewszystkiem.

Dalej autor podaje różne wskazówki co do oświecania sal naukowych, co do diety dzieci i stosunku mięsa do innego pożywienia. Rozszerza swe poglądy na wychowanie moralne, a narzeczcie przystępuje do ważnej kwestyi naukowego przeciążenia, stanowczo potępiając metodę katalogową, która dziś we wszystkich szkołach świata przemaga, wkraczając nawet już w elementarze. Powtarza d-r Rochard, iż skutkiem rozszerzenia zakresu nauki dziewczęta zmęczone umysłowo, nie prawie nie umieją, a zwłaszcza najmniej uczą się tego, co im w późniejszym życiu najpotrzebniejszym być może. Powstaje słuszenie między inaniemi przeciw kosztownym a fantastycznym robotkom i haftom, nierównie więcej upowszechnionym w wychowaniu dziewcząt z klas dostatniejszych, aniżeli szycie, cerowanie, przykrawanie. Nie wytrąca talentów z programu, ale wskazanych jak nie warto owych talentów wyrubowywać do artystycznego stopnia. Dalej ubolewa nad pobocznymi naukami, które zaprzatają czas i zdolności, ku praktycznym celom zbyt mało zwracane. Przytacza głębokie zdanie Napoleona, który, zakładając instytuty naukowe dla córek legionistów, powtarzał: „Nie chodzi mi o kształce-

nie przyjemnych kobiet, bo ten kierunek doprowadziłby tylko do wytworzenia miłych salonowych lalek. Raczej pragnę, aby wyszły na kobiety użyteczne, a czynię to w przekonaniu, iż wtedy i przyjemnymi będą“.

Trudno zacieśnić w doraźnych ramach krótkiego artykułu wszystkie głębsze spostrzeżenia d-ra Rocharda. Potępiając dzisiejszą metodę szkolną, uważa on między innymi, że zawiele każą uczyć się na pamięć, zawiele pisać. Ubolewa nad mnóstwem lekcyi i zadań, twierdząc, iż to się i higienie i pedagogii zarówno sprzeciwia. W ogóle wynika z jego uwag, iż zamiast gwałtem, aż do niestrawności, przekarmiać umysł kosztem ciała, należałoby roztropnie budzić samodzielną myśl i ciekawość zaostrażać praktycznym osobistych zdolności zastosowaniem.

Odsyłamy czytelników do książki D-ra Rocharda pełnej złotych wskazówek dla osób zajmujących się wychowaniem i wykształceniem dziewcząt. Rozdział końcowy, traktujący o szkołach zawodowych szczególnie w nas wzbudził zajęcie, ukazując nową stronę rozumną dobroczynności francuskiej. W roku 1856 powstało tam pod kierunkiem pani Elizy Lemonnier „Stowarzyszenie macierzyńskiej opieki nad dziewczętami“, nie mające innego celu nad zakładanie szkółek zawodowych i praktyczne kształcenie ubogich panienek w rzemiosłach i zajęciach zabezpieczających im niezależność życia. Zrazu tylko jedna była w Paryżu taka szkółka z sześcioma uczennicami. W roku 1889 było ich już cztery, z 500 pensyonarkami, które tam znajdują uzupełnienie elementarnego wykształcenia, uczą się przytem szyc, przykrawać, haftować, robić kwiaty, malować na szkle i porcelanie, rytować i rysować w zastosowaniu do przemysłu. Osobny kurs rachunkowości nieodłącznie towarzyszy temu wybornemu nowicyatowi życia. Pani Lemonnier znalazła odtąd mnogie naśladowczynie. Tu kształcą się bezpłatnie szwaczki i magazynierki; tam dyrektorka zakładu przyjmuje i zbiera gdzie może starzyznę, stare okrycia, suknie, spódnice i płaszcze, a gromadząc dokoła siebie uboższe dziewczynki ze szkół publicznych, uczy je to wszystko pruć, przerabiać, odświeżać, zamieniać wedle potrzeby na kaftaniki lub spódniczki, sukienki czy płaszczyki, pozwalając każdej zabrać do domu, zanieść własnej rodzinie wykonane przez się, a nieraz bardzo użyteczne, arcydzieło. Muncypalność paryzka otworzyła niebawem i warsztaty niewieście, gdzie bezpłatnie, w ciągu lat trzech, dorastające panienki nauczyć się mogą sztuki kuchennej i prania, przeróżnych rzemiosł z robót zawodowych, rachunków domowych i handlowych, oraz praktycznego prowadzenia domu. Wszystkie przytulki sierot, których jest tak wiele we Francyi, nie innego trzymają się systematu.

Streszczając poglądy D-ra Rocharda powtórzymy jeszcze raz, iż w jego oczach ideałem wychowania jest wychowanie domowe, pod okiem dobrej matki, z uczęszczaniem na kursa najbliższego pensjonatu. Zdaniem jego, wychowanie fizyczne, jak dotąd, nie istnieje prawie, i z gruntu należy je nanowo stwarzać. Dotychczasowe prowadzenie dziewcząt przyspasabia kobiety nerwowe, wątłe, niezdolne dostarczyć dzielnych synów krajowi. Trzeba tedy zastąpić ruchem, powietrzem i wodą dotychczasowe *zasiedzenie* nad książkami, i nadmiar spokojnych, nużących zajęć.

Wychowanie naukowe nie mniejszej wymaga reformy. Nauka encyklopedyczna już dała miarę swej wartości: prowadzi ona tylko do składania egzaminów, które dla większości dostarczają zaledwie pozorów wiedzy i budzą śmieszne pretensye. Zbyt obfite, zbyt gęste programata muszą uleść przytrzebieciu. Elementarną naukę wypada zniżyć do najprostszych, najkonieczniejszych wymagań, a i normalne studia koniecznie wymagają naprawy, zacieśnienia zbyt rozszerzonego zakresu. Zdolniejsze panienki zawsze znajdują sposobność folgowania swej chęci i pilności. Nie należy przeto wszystkich nad miarę obciążać. I znów autor powstaje przeciw dyktacyom, gymnastykom pamięci, zadaniom bez końca, a wskazuje korzyści płynące z wycieczek pouczających, z przechadzek higienicznych, z zabaw rozwijających giętkość elastyczną ciała.



Z luźnej księgi luźne też urosło sprawozdanie. Książka o wychowaniu chłopców jest i głębsza, i praktyczniejsza, ale i tom poświęcony wychowaniu dziewcząt zasługuje na poznanie i ocenienie. Jeden jej zarzut gotowiliśmy zrobić. Jak sir John Lubbock w swej książce o *rozkoszach życia*, tak i dr Rochard w książce o wychowaniu, głównie przemawiają do ludzi bogatszych, których ostatecznie jest mało, i którzy stanowią znaczną mniejszość w każdym społeczeństwie. Nam, uboższym od innych narodów, dziwniejszemi jeszcze się zdają domniemane tła tych rad i rozumowań, wypełnione samem bogactwem, pomyślnością, dobrobytem—panującym istotnie na Zachodzie. Dobrobyt przecież podniósł i warunki higieniczne innych narodów, a zdrowie ciała potęgę zdolności ducha. Należy zatem chwytać z tamtąd dobre i praktyczne rady, które z dziedziny pierwszego wychowania promieniają na resztę życia.

## PIERZCHLIWY PTAK

POWIEŚĆ

przez

Kazimierza Glińskiego.

(Dalszy ciąg).

Korabicz uczył ból w sercu, jakiś żal, że zebrać tych drogocennych pereł nie może i przemienić w dar szczęścia. Wyteżył wolę i wzrok, jakby chciał tem spojrzeniem zwrócić jej myśl do siebie; powiedzieć, że kocha — kocha większą i świętszą, niż Zygmunt, miłością.

Znana jest magnetyczna siła spojrzeń: Zosia w tej chwili uczyła moc jej nad sobą. Podniosła szybko głowę i szeroko rozwartemi oczyma spojrzała w okno. Korabicz nie miał czasu cofnąć się, gdy nagły krzyk przestrasza wypadł z jej piersi. Zerwała się, jakby przerażona widzeniem jakimś, i raz drugi krzyknęła, na służbę wołając.

Zrobił się zamęt w sypialni pani. Korabicz, który do ściany przypadł, słyszał, że ktoś wbiegł, ale widocznie obawiał się w okno spojrzeć. Opadła tylko szybko roleta, a hałas, zamieszanie trwały dalej.

— Hanko! — strwożonym głosem wołała Zosia. — Tam ktoś stał... stał!

— Czy to nie przywidziało się tylko, paniusiu? — pytała zaniepokojona pokojówka.

— Nie, nie, nie... widziałam dobrze! przed samym oknem, tu! Spójrz! może jeszcze tam jest?

— Paniusiu! ja się boję — szeptała dziewczyna przez łyż.

— Ktoś był, ktoś stał, ktoś patrzył. Widziałam blask oczu, które świeciły jak żar dogasający...

Widać, że dreszcz nią wstrząsnął, bo na rolegie drgnął cień przełękły. Rozstrojone nerwy stworzyły obraz z rzeczywistością sprzeczną.

— Zawołaj służbę! — krzyknęła ostatnim wysiłkiem woli.

— A jak ja przez ciemne pokoje pójde? — błagała przez łyż Hanusia. — Jeszcze i mnie się coś pokaże — ojej!!

Korabicz, przytulony do muru, słyszał wyraźnie prowadzoną rozmowę; gniewny był, że uległ pokusie; czuł wyrzut, że stał się sprawcą przestępstwa Zosi. Rozumiał teraz, że odejść nie może, bez uspokojenia przełękłej, w przeciwnym bowiem razie stanie się powodem niejednej bezsennej nocy, przyczyną trwogi przydłuższej — tej, którąby życiem własnem chciał osłonić od bólu najłżejszego. Będąc pewny, że wezwana służba obchodzić dom zacnie, ruszył z miejsca na spotkanie poszukiwanego zmiernego złoceńcy.

Okrzyknął dom, przeszedł w stronę dziedzińca, lecz nie nie zdradzało ruchu najmniejszego. Wi-

docznie przełękłe, kobiety bały się ciemności kilkunastu pokoi, które przebyć potrzeba było, zanim-by się doszło do izb dla służby męskiej przeznaczonych. Korabicz nie widział innego sposobu, jeno wejść do środka dworu i o przykrym wypadku starego Grzegorza zawiadomić.

Godzina nie była późna, nie zaryglowano więc drzwi do sieni prowadzących. Grzegorz, rozbudzony gwałtowną kłótnią o pamfila, gderał, mrużąc pod nosem, na zaciętrzewionych smyków, którzy wymyślali sobie od febry i cholery i o mało za czuby się nie brali. I było o co: dwa naraz pamfile w jednej grze się pojawiły. Już starszy chłopiec zakasywał rękawy i brał się do uszu, koczując ruchem skaczącego, przeciwnika, gdy od sieni drzwi się otwarły i wszedł Korabicz, a z pokojów strwożona Zosia wybiegła.

— Pan Michał! — zawołała, stając nagle.

Tętnęła.

— A! jak to dobrze! W sam raz, w sam raz pan przychodzisz!...

Podeszła szybko, prawie podbiegła i drżąca, trwożna, ujęła nerwowo za rękę niespodziewanego gościa.

— Pani się przestraszyła, i to z mojej winy — odezwał się Korabicz nieśmiało, podnosząc oczy na ukochaną kobietę.

Zosia spojrzała na mówiącego, nierozumiejąc dokładnie jego słów; ale za ledwie gość mógł zebrać się na odpowiedź, pociągnięty został przez nią do pokoju, w którym płonęła już lampa, przyniesiona za panią przez Hankę.

— Jak pan dobrze zrobiłeś, żeś przyszedł — szeptała, a usta jej drżały, były blade, zbyt rozszerzone żrenice mówiły, że strach nie minął... Korabicz w dłoni swojej trzymał jej dłoń pieszczone, czuł tętno krwi, nerwowy skurek palców, a w swem sercu jakąś rozpacz bezdenną.

— Chciałem uspokoić panią, przeprosić za przestępstwa, którego mimowolną przyczyną się stałem — i... pożegnać — wyszeptał.

— Co? pan mnie przestraszył? — spytała.

— Chodziłem po parku... zatrzymałem się przed oknem na chwilę tylko.

— To... to był pan? — zawołała Zosia zdziwionemi oczyma, patrząc na Korabicza.

— Ja tym winowajcą, godnym przegierza! Nie prawda, pani?

— Ach! co pan mówisz? — rzuciła Zosia, oddychając głęboko, jakby ciężar wielki spadł nagle z jej piersi. — Pan? to chwala Bogu, że pan! Nie pytam o powody, które pana do nocnej wędrówki skłoniły; rada jestem, z przestępstwa nawet, bo — kto wie, czy inaczej zobaczyłabym pana tu kiedy? — mówiła ze smutnym lecz ślicznym uśmiechem zawsze. — Czy nie tak? — dodała, pochylając lekko w tył głowę.

— Tak, pani! — odpowiedział Korabicz.

— Dlaczegoż to?

Michał zmilczał.

— A! z tego to pan się będziesz musiał wytłómaczyć. Czy obraziliśmy czem pana? czy ja zawiniłam w czemkolwiek przed panem?

— Pani? — pochwilił szybko Korabicz.

— Więc... może mój mąż?

Przy ostatnim wyrazie zadrżały usta Zochny, a oczy łzami się przysłoniły.

— Nie, nie, nie — wierz mi pani, że nie! — zawołał z mocą Korabicz. — Mąż pani zanadto jest u przejmny, by mógł mi ubliżyć lub jakąbądź inną przykrość sprawić; a pani — czyżbyś umiała?

— Więc co wpłynęło na taką obojętność względem mnie czy nas? Wszak to już przeszły miesiąc długie od chwili, gdy pan był u nas, a ja nie raz tak chciałam widzieć pana, tak go potrzebowałam widzieć!...

Teraz usta Korabicza zadrżały a żrenice mgłą zaszyły.

Zosia chciała powtórzyć pytanie, lecz w pół wyrazu urwała, spojrzaawszy na zmienioną twarz stojącego o parę kroków mężczyzny. Korabicz walczył ze wzruszeniem, z burzącymi się znów uczuciami, które ogarniały całą jego istotę. Nie spuszczał oczu swych z wiotkiej, wdzięcznej postaci Zochny i porównywał ją, dzisiejszą, z tamtą, którą w pamięci swojej zachował — uśmiechniętą, wesołą, szczęśliwą. Śliczną była, śliczniejszą może niż dawniej, choć oczy odrobinę przygasały, zdawa-

ło się, że były ciemniejsze nieco i większe; choć na przezroczyście-bladej twarzyczce rysowała się siatka błękitnych żyłek; tylko usta czerwieniły się jakby lekką spaloną gorączką, tylko fioletki jakimś smutkiem patrzyły, świecąc napływającą ciągle łez rosą. Cierpienie zostawiło ślad swój na tej wiotkiej istocie, stworzonej do pogody i śmiechu, do ciszy, do wiecznie rozjaśnionych błękitów.

— Siadaj pan! — odezwała się po chwili.

— Czy się pani już uspokoiła? — zapytał Korabicz, odzyskując straconą na chwilę równowagę.

— Ależ tak, tak! choć, doprawdy, okropnie się przeraziłam. Lecz nie dziw się pan! jestem jakąś zdenerwowaną, chora, rozkapryszoną trochę. Posępny szum wiatru źle mnie usposobił, w domu była za wielka cisza, a nie miałam na kogo spojrzeć, przemówić do kogo...

Stłumiła łyż, lecz słowa jej niemi przepełnione były.

— Siadaj pan! — powtórzyła raz drugi.

— Miałem inny zamiar — rzekł Michał.

— Jaki?

— Pożegnać panią...

Zosia powstała szybko, nerwowym ruchem ujęła za rękę Korabicza i pociągnęła do krzesła.

— Nie, nie! — odezwała się z trwogą pewną. Nie dzisiaj... nie zaraz przynajmniej! O tak! — szeptała, na uśmiech siląc się — pan musisz wynagrodzić mi chwilę strachu, którego sam, jak rzekłeś, byłeś powodem. Musisz pan pozostać, dopóki zmysły do równowagi nie przyjdą i zupełny, zupełny spokój nie wróci. Widzisz pan, że jestem, doprawdy — bardzo chora... Taką nie widziałeś pan mnie nigdy — prawda, panie Michale?

— Zaprzeczyc nie mogę, bo istotnie nie poznaję pani... Ale...

— Chciałbyś pan wiedzieć co to wszystko znaczy?

— Jeżelibym zasłużył na ufność...

— O! któż nad pana zasługuje więcej na wszystkie najszlachetniejsze uczucia, jakimi ludzie darzą serca prawe i meżne? Pan unikałeś naszego domu, mnie — ukrywałeś się przed życzliwymi sobie, chciałeś, ażeby nikt nie o panu nie wiedział, a tymczasem zdradzają pana wszyscy i wszystko. Czy pan myślisz, że echo nie powtarza słów pańskich, jakimi do gromadki dziatwy wiejskiej przemawiasz w szkole? czy pan myślisz, że rumieniec mej twarzy nie szepnął mi coś o panu, gdy, po powrocie z balu, od szambelana, na ementarz zaszedłam, do tych mogił, gdzie pokładli się ci, których ty zmęczonemi już swemi barkami dźwignąć nie mogłeś?...

— Pani! czy to zasługuje na takie słowa gorące? — przerwał Michał.

— A na co? — spytała Zosia.

Korabicz zmilczał chwilę.

— Gdybyś pani wiedziała o pobudkach do czynów tych, — byłby może sąd twój ostrzejszy.

— A! niech one sobie będą jak piekło czarne, byleby nam jasne otwierały niebo — zawołała Zosia porywczo, z gorzkim na ustach uśmiechem.

— Tak dalece źle o nich mówić nie mogę — odparł Korabicz. — Niemałą jednak w tem rolę grał egoizm. Chciałem zagłuszyć coś w sobie, zapomnieć o czemś. Nie mogąc uszczęśliwić siebie, ze strzępami serca do innych się zwróciłem. Czy to cnota? poświęcenie czegokolwiek bądź dla celów wyższych?... Gdyby życie miało uśmiech dla mnie — kto wie, jakimby wówczas postąpił?

— Ze strzępami serca? — powtarzała szeptem Zosia. — Jakieżto było całe serce, gdy strzępki jego takie czyny rodzą?

— Ach! jakże pani wytłómaczyłaś moje słowa! Gdybym je w tem rozumieniu powiedział, zgrzeszyłbym iście szatańską pychą.

— Nie! to mój własny domysł, przy którego prawdziwie pozwoleń mi już pan pozostać.

Wpatrzyła się przed siebie i zamyśliła się nad czemś. Korabiczowi zdawało się, że myśl jej odgadywał, niepewną, daleką może, ale oblaną jakimś światłem — nadziei dla niego. Kto wie, czy w zranionem tem sercu nie rodzi się coś, coby mu raj otworzyło? A jeżeli tak jest, mąż on sam dobrowolnie drzwi do niego zatrzasnął? Dlaczego nie podnieść skarbu tak lekkomyślnie odrzuconego? Niemaż prawa do szczęścia — on tylko? Tylu podłych na świecie, tyle zbrodni — mają nad sobą ja-



ność błękitów: przed nim tylko jedna, jedyna lśni gwiazda, malutka jeszcze, niepewna, senna i mglista, przed chwilą wyblęśla na niebios mrokach — i tę iskierkę drobną ma on tehem własnym zagasić! Dlaczego? Jest-że paryą, za którym wlece się cień przeklęty, któremu niewolno spojrzeć nawet na bóstwo?... A jeśli, jeśli to bóstwo samo wyciągnie ramiona, w jego objęcia się schyli, spokój w nich znajdzie i szczęście — co wtedy? Ach!... ramion się nie otwiera do bogów nowych bez zdrzutgotania dawnych; stają one jeszcze jasno w pamięci, żyją o nich wspomnienia świeże, a do zabicia tych wspomnień, pamięci tej, samemu potrzeba dłoni przyłożyć.

Wstrząśł się.

Nie! nie okupuje się szczęścia własnego morderstwem nawet motyla, a wspomnień ze złotych nici uwitych zatrzeć nie łatwo. Czasem się kocha raz tylko — on o tem wie. Dotąd, może pękło jedno, drugie ogniwo, lecz łańcuch niestargany jeszcze. Nie jemu przykładać dłoń do dzieła ostatecznego zniszczenia, zabijać serce, by potem je wskrzeszać — dla siebie! To serce żyje, gra ciepłą krwią, a uderzyłoby pełnią szczęścia, gdyby ktokolwiek zerwane nitki połączył.

Lecz, kto wie co przyszłość ma w zanadru?

Na ściemnionym horyzoncie marzeń znów błysło światło senne... Korabiec wpadł w zadumę.

— Czy pan wie cò o Zygmuncie? — spytała nagle Zosia.

Michał uczył ostrze w sercu. Powolnym ruchem głowy odpowiedział przecząco.

— Pan nie wie nic?

— Albo... co?

— Ja się boję o niego, a może więcej o siebie...

Słowa rozplynęły się w łzach.

— Ja o Zygmuncie myślę ciągle prawie, a on — szeptała jakby do siebie.

Rozjaśnione przed chwilą czoło Korabieca znów się chmurą pokryło; lekkie nadziei mgły — pierzchy... twarda dłoń rzeczywistości znów mu serce ciężkim przyniosła kamieniem.

— Pan czegoś smutny, panie Michale? — odezwała się po krótkim milczeniu Zosia.

— Bądź pani wesoła, a po raz drugi słów tych nie powtórzysz.

Zosia podała mu rękę.

— Ach! jaki pan dobry! ale dlaczego pan tak dobry jesteś? Z Zygmuntem nigdy was nie łączyły bliskie związki przyjaźni, we mnie... zdaje się, że się pan nie kochał? — dodała ze spokojnym uśmiechem.

Ale Korabiec drgnął straszliwie, aż Zosia to zauważyła i niepewne, pytające spojrzenie posłała ku niemu.

Stali przed sobą twarzą w twarz, patrzyli oko w oko.

Korabiec był blady jak trup; niespodziewane pytanie pomieszało mu zmysły. Oczy rozwarły się szeroko, usta drżały nerwowo, przez czoło przelatywały rozkielzane, jak wichry, myśli. Stracił świadomość miejsca, czasu; nie wiedział co działo się przed nim i w nim. I była chwila, że omało nie runął na klęczki, w jęk i płacz nie uderzył, tak uczył się bezsilnym nagle, złamanym, pozbawionym woli i mocy. Zdawało mu się, że cały ciężar cierpienia z bark-by swych rzucił, że skończył, wymawiając głośno: Kocham! Kocham ciebie!... i — szczęśliwy jak anioł pierwszy, który wyszedł z rąk Boga — w zasłoneczny-by kraj uleciał, w wiekiustą jasność raj. Lecz był to moment jeden, chwila błyskawicznego lotu... Rozproszone zmysły wnet zebrał; tylko serce, które nagle zatrzymało się w piersi, z potrójną uderzyło mocą; tylko silniejsza fala krwi na twarz mu wybiegła i — był znów sobą, panem swych żądz i pragnień, czynów i słów.

— Kocham panią, Kocham Zygmunta, Kocham wszystkich ludzi! — z jakimś strasznym odpowiedział spokojem.

Zosia milczała, lecz nie spuszczała oczu z drgających powiek Korabieca. Zdawało się, że myśla mi rzucała pytania, rozwiązywała jakąś zagadkę ciemną, hieroglificznych znaków odczytywała napisy. Odpowiedź jednak Korabieca, zimna jak lód, spokojna jak śmierć, gdy już na czole trupiem usiadł, zmieszała szyki jej domysłów. Patrzyła chwilę jeszcze, lecz już czoło pana Michała nieczytelne było.

Korabiec uśmiechnął się.

— Nie odgadniesz nic, pani! — rzekł z łudzącym spokojem.

Zosia nie dała odpowiedzi żadnej, lecz gdy chwilką później zaczęli obojętną rozmowę, śledziła każdy ruch oczu Korabieca, każde drgnienie ust, każdą bruzdę zarysowującą się na jego czole.

Było blisko północy: Michał wstał, by pożegnać Zosię.

— Panie Michale! — odezwała się, wyciągając dłoń ku niemu. — Mam nadzieję, że pan mnie odwiedzić zechcesz. Samotność męczy mnie, niepokój zabija. Jak rozdrażniona jestem, mogłeś się pan przekonać; gdy krzyknęłam, jak dziecko małe, zobaczywszy przez okno na ciemnym tle nocy stojącą postać czyjaś.

— Nie mogę przebaczyć sobie wypadkowego zapomnienia się, tej chwili, w której zobaczywszy panią, wstrzymałem się na — jedną, jedną tylko sekundę.

— A ja nie tylko przebaczyłam, lecz rada jestem z ciekawości, czy — nie wiem czego — pana. Tych godzin kilka wieczoru przeszłoby mnie bardzo smutno. Strasz pan, ale przechodź — dodała, śmiejąc się.

— Jeżeli pani pozwoli...

— Jeżeli pan chcesz, to każe!

— O! rozkaz zbyt cenny — i ja dość jestem samotny — rzucił Korabiec.

— Nawiedziłabym chętnie szkółkę pana, ale są pewne okoliczności, wzbraniające mi tego. Kto wie — dodała po chwili — czy i ja za śladami pańskimi nie pójdę; czy nie będę zmuszona o czemś zapomnieć... czegoś zostawić...

— Ja widzę, że pani lży dławia — szepnął Korabiec — ale, niesłusznie! Wiem trochę cò o niepokojach pani i — powtarzam raz jeszcze: bądź pani dobrej myśli!

— Taką pewnością dzwonią słowa pańskie, że... choć mi trudno, spokojną być muszę...

Uścisnęła mocno dłoń Michała.

— Ale, cokolwiek bądź się stanie, pan mnie nie opuścisz? — dodała z łaganiem jakimś.

Po raz drugi obróciło się koło tortury, po raz drugi Korabiec musiał wezwać całą siłę woli, by zapanować nad rwąciami się gwałtem uczuciami.

— Nie opuszczę nigdy, nigdy! — wyszeptał.

Pożegnał, dając słowo odwiedzenia nazajutrz, jeżeliby Zygmuntem nie przyjechał — i wyszedł chwiejny, drżący, z krwawiącą się znów raną w piersi, choć ze złudnym obrazem niepewnej nadziei.

(Dalszy ciąg nastąpi).

## PRZEGLĄD TEATRALNY.

CVI.

Hamlet i Corrado, odtworzeni przez **Maggięgo**. *La morte civile, Giacomettiego*. Charakterystyka artyzmu Maggięgo. *Rodzina Pont-Biquet*, komedia w 3-ach aktach *Alexandra Bissona*, przekład przez H. S. — poraz pierwszy w Teatrze Letnim d. 28 Maja. Popisy deklamacyjne i sceniczne na kursach przy Towarzystwie Muzycznym w dd. 26 i 29 Maja.

Po ostatnim przedstawieniu, o którym wspomniano już poprzednio, Maggi wystąpił jeszcze cztery razy, pomiędzy 19 a 23 Maja: w *Keanie, Ludwiku XI*, w *La morte civile* i w *Hamlecie*. Dwa ostatnie przedstawienia zajmą tu naszą uwagę. W „komedii“, a właściwie w *tragikomedii*, *Giacomettiego Śmierć Cywilna* Maggi ma rolę patetyczną. Skazany za zabójstwo krewnego, Corrado, kalabrez o krwi wrzącej, po trzynastu latach zjawia się jako tułacz w mieście, w którym niespodziewanie spotyka swą żonę Rozalią i dziecko jedyne, córeczkę podlotka Adę (Emmę). Nad żoną zawiesz rozsięwa potwarze, a rozzuchwała ją w nędznym rzemiośle stanowisko zaj-

mowane przez Rozalią w domu lekarza Palmieręgo, owdowiałego przed wielu jeszcze laty. Kobieta przystojna, wcale jeszcze nie stara, przed światem uchodzi za guwernantkę (*aja*) mniemanej jedynaczki wdowca Emmy. Ale świat nie zna tajemnicy. Jedynaczka jest rzeczywiście dziećciem z nieszczęśliwego małżeństwa, przybraniem przez lekarza, który własną swą córeczkę był utracił. Taki stosunek, przez długie lata utrwalony, pogłębia jeszcze tę przepaść, jaką już sama śmierć cywilna rzuciła skazańcowi na drogę nowego życia. Wszystkie węzły społeczne, prawno-cywilne stargane: żona nie chce być żoną, dziećcie nie chce być dziećciem. Samo prawo, rozrywając węzeł małżeński, pozwala wyrzec się nawet nazwiska. Uwolniony z więzienia dostaje się napowrót do więzienia — gorszego jeszcze, niż poprzednie. Cała jego wolność po odcierpieniu kary to tylko możność bezkarnego poruszania się poza obrębem murów, urzędownie więzieniem nazwanych. Innej wolności Corrado już nie zazna — chyba z łaski własnej żony i dziecka.

Smutny los jego, męczarnie jego duszy pojmiemy, gdy nam poeta powie, że Corrado nie jest zbrodniarzem z zawodu: zabił po nocy, w niepokoju i uniesieniu, nie miał żadnej niegodziwej pobudki — jest etycznie zdrowym. I taki człowiek, raz już cywilnie zmarły, ze skutkami tej śmierci żyć musi, dopóki już i fizycznie nie zamrze. Jeżeli jest uczuciowym, jeżeli głód nie zapędzi go od razu do pracy zarobkowej i nie każe mu zapomnieć, że był kiedyś, że jest jeszcze teraz człowiekiem, to albo biernie uczucie niedoli robi z niego ofiarę społecznego porządku, albo czynna wola tragiczna zamieni go już w rzeczywistego zbrodniarza. Giacometti poprowadził swego Corrada pierwszą z tych dróg. Miotany zrazu zazdrością, później odrącony, zrozpaczony, przekonany wreszcie, że obu ukochanym przez siebie istotom przyniosłby tylko nieszczęście, gdyby odzyskał możność wykonywania naturalnych swych praw jako ojciec i mąż, z duszą miłości pełną, pogodzoną z losem, uspokojoną — po pięknych scenach pożegnania z żoną i dzieckiem zażywa truciznę i umiera.

Wszystkie cierpienia i radości i całą niedolę obecną i czarną noc przyszłości nieszczęśliwego tułacza odmalował Giacometti prawdziwie i wzruszająco; niepotrzebnie tylko, ulegając modzie liberalizmu przeciw-kościelnego, zdołał z dwóch pierwszych aktów jakąś niby komedią intrygi, całkiem obojętną dla tematu *śmierci cywilnej*, a obrażającą tylko uczucia religijne. Zemsta, prowadzona przez jakiegoś monsignora przy pomocy dwóch innych czarnych charakterów, jest i nedorzeczną i wcale nie potrzebną, i stanowi jakby odrębny zupełnie temat, mechanicznie tylko trzymający się głównego założenia. Sam dramat powrotu Corrada z więzienia w aktach II, III i IV zajmuje dramatycznością swoją i tezą społeczną, a pod względem analizy psychologicznej głównego charakteru będąc już utworem wybitnym, posiada prztem jeszcze wdzięk ponurej poetyczności.

Maggi od razu już, gdy wchodzi na scenę w akcie II, jest doskonałym wyzwolencem z więzienia: oblicze, układ postaci, ruchy — wszystko tu do złudzenia prawdziwe. Od razu widać więcej nieszczęścia i niewoli, niż zbrodni — a nad wszystkim panuje trwożliwość, nieśmiałość człowieka, który zapomniiał już chodzić, ruszać się, żyć wśród ludzi. Jak zwykle w opowiadaniach uczuciowych, lirycznych, jak np. w *Otelli*, tak i w malowaniu stanu duchowego Corrada w więzieniu, nie miał artysta włoski głębokości, siły i ciągłości uczucia, które w prawdzie życia pędzi jednym nieprzerwanym potokiem; ale zato, gdy opowiadał samo wylamywanie się z więzienia, z pomocą gestów, przy odpowiednim nastroju głosu, sprawiał fizyczne niemal złudzenie pęknięcia krat żelaznych. Wejście do Palmieręgo, pierwsze spotkanie się z córką w akcie III, rozprawa z żoną, zakończona poetycznym uściskiem małżonków, osunięcie się do kolan córki, napawanie się samym jej widokiem — wszystko to było w zmysłowej swej zjawiskości miarkowane i dzięki temu w duchowej treści swej prawdziwe. Wybornie oddał Maggi poetyczny efekt ocknienia



się konającego na wołanie córki, która już była się go wyparła: „Ojcie, ojcie mój!“. Szlachetna radość przeblyskiwała z oblicza tak olśniewająco a z takim miarkowaniem owej symboliki ruchów, o której mówiłem w pierwszej swej wzmiance o gościu włoskim, że nie można było bez rozczulenia patrzeć na scenę. Konanie, jak wszystkie u Maggiego objawy patologiczne, wystudyowane było znakomicie, a oddane łądząco; tylko ociężałe osuwanie się ciała z fotelu w tył byłoby właściwszem, niż gwałtowne runięcie na ziemię z wydaniem postaci naprzód. Przejmującego szeptu w tej *Śmierci cywilnej* było więcej, niż w innych rolach.

Hamlet Maggiego nie jest sentymentalnym, rozmazanym pessimistą XIX wieku na bajecznym dworze w Elsinore; nie jest też niedołągą osłaniającym się w płaszcz filozofii: tyle dobrego o pojęciu roli powiedzieć potrzeba, ale mało co więcej powiedzieć można. Maggi nie zdołał jeszcze wcielić się rozumem w tajemniczą, co prawda, oporną, po tylu wiekach, nie tylko serce Ofelii, ale i trzeźwe umysły estetyków i etyków, zamęczającą postać. Duszę Hamleta czuć było tylko w gwałtownych wybuchach, w doskonałej symboliczności ruchów: nie czuło się jej w momentach spokojniejszych, we wrażeniach i myślach wysnuwanych jednym ciągiem pasmem — wogóle tam, gdzie typem duchowego objawu, jest ciągłość, a nie dożałość. Poznawanie ojca, wsłuchiwanie się w głos zagrobowy, przysięga pomśzczenia śmierci, podpatrywanie usadowionej na tronach pary królewskiej na widoku teatralnym, cała gra niema wobec nowego zjawienia się ducha podczas rozmowy z matką, a nadewszystko w końcu sztuki przedziwne oświetlenie oblicza światłością smutku, wydobytego z pieczar duszy, tak nieszczęśliwej i tyle nieszczęść w kółko siebie siejącej, sprawiały najwyższe zadowolenie. Ale rozmowy z Ofelią razily szorstkością; przeglądanie nawskroś Rosenkrantza i Guildensterna nie miało właściwej sobie ironii; dyalog z grabarzami toczył się bez bólu żrącego już mózg, a nie tylko serce; wreszcie „Być albo nie być“, pozbawione ciągłości jednego niepodzielnego stanu duchowego, nie dało słuchaczom, ani głębokiego smutku, ani mroźnego spokoju — zwiastuna rozpacz, przed którą ocalić mógł Hamleta jedynie tylko czyn. Namiętne uniesienie się pod koniec rozmowy z matką po niedoszłym zamordowaniu jej męża było zbyt silnym. — W ogóle zawiele cała rola miała rwania się i krzyku, zawiele gry zewnętrznej a od nadmiaru tego cierpiała gra wewnętrzna — naśladownicze odczuwanie życia duszy.

Zakończenie tragedii wieścią o powrocie Fortinbrasa z wyprawy ukazuje duszę Hamleta szlachetną, wyższą, podniosłą, potrzebującą dla siebie rozległych widnokręgów, ale strawioną przez tęsknotę po ojcu, przez boleść na widok matki, przez pożądanie zemsty a dreszcz przed mężobójstwem. Miłość synowska jest ogromnym czynnikiem i dźwignią tego charakteru, i więcej do niego wnosi, niż wnieść mogło całe niedołąstwo woli i zgorzkniałość umysłu. Z tej też miłości więcej wyciągnąć można danych do syntetycznego pojęcia charakteru, niż z nerwowości, pessimizmu, niedomagania woli, z ogólnej chorobliwości ducha. Nawskroś romantyczna postać szekspirowska dla ludzi dzisiejszych zrozumiała stać się może, nie przez samą tylko swoją nerwowość i zniechęcenie do życia i świata: lepiej, głębiej się ją zrozumie, gdy się w niej odczuje drgnienia nieszczęśliwego serca synowskiego. Sam Shakespeare, zaczynając sztukę zjawieniem się ducha, dał jakby kamerton dla całej jej gammy tragicznej.

Pomimo skromnej wystawy uszcieniczenia tragedii — chociaż z pomocą sił indywidualnie tak miernych — sprawiało przecież lepsze wrażenie, aniżeli na naszych swojskich przedstawieniach. Powiedzieć to potrzeba szczególnie o początkowych i o końcowych scenach dramatu. Dość tylko porównać wzięcie ducha, widowisko teatralne, pogrzeb Ofelii, starcie się Hamleta z Laërtesem nad jej grobem, wreszcie scenę końcową tragedii, aby przyznać wyższość Włochom. Dzięki pomysłowości Maggiego było życie tam, gdzie w naszym układzie panował jedynie konwencyonalizm.

Zbierając w całość to, co się powiedziało o Maggim, przychodzi się do przekonania, że większym jest on *aktorem*, niż *artystą*, lepiej z przyrodzonych darów swoich korzysta dla wytwarzania dzieł sztuki scenicznej, niż ze swego rozumu, wyobraźni i uczuciowości odtwórczej dla odtwarzania dusz ludzkich. Różnica jest jasna: aktor *robi*, artysta *tworzy*. Robota podziw wzbudzić może, ale tylko *twórczość* w zakresie dla sztuki scenicznej dostępnym zdoła wzruszyć i porwać. Najwyższą doskonałość swego kunsztu pokazał Maggi w Ludwiku XI; artyzmem jaśniał w niektórych scenach Otella, Corrada i Hamleta — i w całym prawie Learze. Tu już gra była organiczną a zrozumienie i odczucie charakteru łączyło się w niej z mistrzowskim realizmem scenicznym. Stosunek obu czynników sztuki aktorskiej jest powszechnie odczuwanym i dostrzeganym stosunkiem formy do treści, materii do ducha, ciała do duszy. W Maggim dusza artyzmu przedstawia się jakby zgłuszona przez nadmiernie wybujałą zmysłowość, którą technicznie właśnie ów słusznie podziwiany realizm jego gry. Duch jest, ale ciało zbyt wielkie, rozrosłe, wyolbrzymione, nie zawsze pozwala mu swobodnie, silnie i pięknie się objawiać.

Jako pracownik samodzielny, do siebie samego należący, na samym sobie oparty, artysta włoski ma swój styl własny; ale ten styl nie należy do rzędu najszlachetniejszych, najwyższych a doskonałych we wszystkim, do czego się przyłoży — nie jest jeszcze stylem prawdziwie wielkiego artysty, wiernego tłumacza i przyjaciela poetów, posłannika sztuki myślowej, idealnej, znajdującego dla niej zewnętrzne wcielenia. Artysta wielki umie zawsze dobrać się do rozumów, rozdzierać serca, nerwami trząść, umie tłumy naokoło siebie gromadzić, werbować legiony naśladowców, panować lata całe w sztuce, a spełniwszy swoje w blasku i potędze, długo jeszcze potem żyć we wspomnieniach z pokolenia w pokolenie przekazywanych. Maggi więcej zadziwia, niż podbija i wzrusza, a wzruszenie, jako skutek sztuki, było, jest i będzie zawsze głębszem, prawdziwszem i potężniejszym od najwyższego podziwu.

Od Maggiego i Shakespeare'a do Bissona i *Rodziny Pont-Biquet* — co za przeskoki! ale gdy się go życie samo dopuszcza, sprawozdanie za życiem iść musi. Stary Sarcey przechwilił nową komedią znanego u nas autora *Niespodzianek rozwojowych*, i dzięki temu nowa komedia w Wodewilu Paryskim miała już stokilkanaście przedstawień (od środka Stycznia), zawędrowała na obce sceny, — przyciągnęła i do nas. Niepodobna w tem do *Niespodzianek, Rodzina Pont-Biquet* jest humoreską ciężką, przeladowaną tematami, a nie dość zasobną w dowcip i humor, w rdzenny, ludzi i sytuacje przejmujący humor. Z pięciu czy nawet sześciu tematów nowej sztuki, żaden nie jest przeprowadzony zrecznie, z jaknajwiększym prawdopodobieństwem, — bez tego fatalnego sztydła z worka, bez wyraźnej roboty, silącej się na zamierzony efekt, a skutkiem wysilenia właśnie chybiającej celu.

Czego-bo niema w tej *Rodziny Pont-Biquet*! Jest najpierw pedant rozmawiający ze służbą, jak z więźniami, a ciekawy jeszcze sprawek młodości. Jest zięć i pomocnik sędziego, kraniołóg a lekawiec, sędzia śledczy, utrzymujący sztukę w ruchu. Jest drugi pomocnik, kancelista, zakochany w swej pryncypałe. Jest żona sędziego, przedmiot westchnień kancelaryjnych, odpowiadająca miłośnie na miłosne listy nieistniejącego wcale Roberta. Jest kandydat do posad małżeńskich, umieszczony już przy córce państwa sędziowskiego, ale mający jeszcze do uregulowania dawne rachunki z jakąś artystką „Folies Bergères. Jest zazdrosny mąż tej artystki, sam również artysta — człowiek-ryba“ wytrzymujący półszóstą minuty pod wodą, a zarabiający takim artyzmem 100.000 franków rocznie — dobry rys z charakterystyki dzisiejszych społeczeństw, lubiących kuglarstwa. Jest dalej chłop z krową przyprowadzoną do miasteczka na sprzedaż, wzięty za współnika czynów prawu przeciwnych a ściganych przez zazdrosnego męża. Jest wreszcie garson hotelowy, obalający rusztowanie kłamstwa wzniesione przez obu panów zięciów: terażniejszego i przyszłego. Jest

jeszcze i wiele innych rzeczy, ale wśród nich niewiele dowcipnych; naigrwanie się zaś z sędziów i ze sprawiedliwości jest wprost naigrwaniem się i ze zdrowego rozsądku widzów, którzy w największem jeszcze rozżalowaniu dostrzegają muszą na ciąganie, te *ficelles du théâtre*, a właśnie ukrycie w *Niespodziankach* stanowi główną zaletę wesołej bissonady. Tutaj niema prostoty — niema zatem i prawdopodobieństwa.

Nikt wymagać nie myśli jakiejś szczególniejszej staranności w wystawianiu takich drobiazgów i głupstewek, jak *Rodzina Pont-Biquet*. Ale cokolwiek jest, skoro już jest, powinno iść zawsze jak najlepiej. Pont-Biquet'ci nie idą u nas dobrze, bo idą za wolno. Nie jest to bynajmniej komedia, choćby nie widzieć jak pusta i wesoła: jest żart sceniczny, pohulanka, farsa — i grana też być powinna odpowiednio do swego charakteru. Takie lekko pomyślane, a, jak tu, ciężko zbudowane, fraszki dramatyczne a *fortiori* potrzeba czempredziej spychać, grać w jaknajszyszym tempie, z ustawicznym humorem, z tą złośliwą fantazją, którą mówiła, że i ludzie przedstawiani i sami artyści nie wierzą w prawdziwość tych wszystkich przygód, postanowień i czynów, zarówno niedorzecznych, jak nieprawdopodobnych. Tylko takie szybkie jakby przepędzanie przez scenę, może sztukom podobnym zapewnić utrzymanie się na scenie.

Z prawdziwą tylko przykrością wspominam tu o dwóch popisach kursów deklamacyjno-scenicznych przy Towarzystwie Muzycznym w Warszawie, w dniach 26 i 29 Maja, w sali Teatru Rozmaitości. *Love's labour's lost*. Zapewne, i prowadzący kursa i korzystający z nich kochają sztukę; ale miłość sama nie nakarmi. Wiecznie zielone drzewo nadziei zdaleka uśmiecha się wszystkim zarówno, ale mało kto zerwie z niego złoty hespeiryjski owoc, a po bojach i znojach wypocnie w jego cieniu. Rok przeszły miał trzy zdolności kobiece; w bieżącym obie połowy rodu ludzkiego, i lepsza i gorsza, jakby zmówiły się na to, aby niezabłysnąć żadnym poważnym, choćby niewielkim, talentem. Były momenta, jakby wysoki, szczęśliwsze — i znowu, jak w roku przeszłym, kobieta prześcigała tu mężczyznę — ale nie było absolutnie ani jednej rzetelnej, choćby najsurowszej jeszcze, najnieodpowiedniej prowadzonej siły. Czy popis zawczesny; czy przyjmowane na kursa zbyt skwapliwie, nie krytyczne; czy nauka niedość ścisłości i systematyczności posiadająca; czy wreszcie już takie przeznaczenie — dość, że nie czuć było w żadnej z okazanych sił drgającego nerwu sztuki. Niech-by sobie tam grali ci uczniowie grubo, niezdarne, nieumiejętne, ale niechajby to barbarzyństwo sztuki okupywali świętym ogniem uzdolnienia, który niedarmo jest *ogniem i świętym*, bo rozgrzewa i uświęca. Takie siły z roku przeszłego, jak panna Surowiecka, jak panna Bogusławska (Dąbrowska), obecnie artystka we Lwowie, na to tylko stawały teraz w pamięci, aby od wspomnień tych jeszcze bardziej gorzkniały wrażenia otrzymywane z popisów.

Wszystkiego brakło tym niedoświadczonym, samego powołania swego doświadczającym siłom — ale głównie głosu brakło. Odsuwając na bok p. Muklanowicza, jako należącego już do starszego pokolenia uczniów, głosy męzkie szczególniej przebrały swą cienkością, małuczkością, płytkością, bezdźwięcznością i niewyrobieniem jakichkolwiek, choćby nielicznych, ale ustalonych, pewnych, niezawodzących regestrów. Były wśród nich głosy, jakby z tłumikami, były zużyte, drewniane, lub chropawe. W ogóle ani w kuryi męzkiej, ani w kuryi żeńskiej niema ani jednego głosu prawdziwie dźwięcznego, giętkiego, wyposażanego w głębokość uczuciową i siłę fizyczną. Kobiety były w ogóle lepsze, ale i one głosu wydobywać jeszcze nie umieją. Jeżeli nawet tego nie nauczyono na kursach, to czegoż na nich nauczyć się można? Gdyby chodziło o amatorstwo samej nauki — niechby sobie uczył się kto chciał, rok po roku, dopóki mu się ta wytrwałość nie sprzykrzyła. Ale ponieważ chodzi to o cel nauki, o artyzm, o istotne powołanie do sztuki, o rzeczywiste w tej sztuce trudy i postępy — czyż nie koniecznym jest poważne przedewszystkiem przebieganie surowych sił



i surowych chęci, tak często wspinających się daremnie po złote jabłka Hesperyd? Tego obowiązku nie spełniali kierownicy kursów—i to jest ich wina bezwzględna, niedająca się okupić najdoskonalszym nawet nauczaniem, a o tem jeszcze wiele w studium specjalnem dałoby się powiedzieć.

Deklamowanie wierszy na kursach nie musi być przedmiotem rzetelnej troskliwości o prawdę i piękno. Uczniowie robią dowolne przestanki, ścigają i rozpuszczają głos, gdzie i jak im się podobą; dowolnie wymawiają np.: *Zim'a—niema, kobieta—zabita, święci—poeci* i t. d. Nosowość i jedni wybijają przesadnie, inni znowu całkiem lekceważą, wymawiając np. *bede*, lub tłumiąc e w czasach przyszłych. Niema już co nawet i mówić o muzyce, o rytmie i plastyce deklamacyjnej, o cieniowaniu, rzeźbieniu, o całej duchowej stronie deklamacji. Popisy czysto-deklamacyjne dały gorsze jeszcze wyniki, niż sceniczne. Tu już absolutnie doznawało się niesmaku, przykrości i współczucia dla biednych ofiar geniuszu sztuki. Zmarniały przepiękne *Echa kołyski; Hagar na puszczy*—mordowała sztukę malowania świata, życia i serca barwami żywego słowa.

Na zielonym drzewie nadziei popisy tegoroczne nie zostawiły nic, prócz zeschniętych liści. Czekamy roku przyszłego.

Stanisław Krzemiński.

## PAJĄK.

Kołysał się raz pajak na swej wątlej nici

I czekał zali prędko wiatr go w lot pochwyć

I z zielonej topoli przeniesie na drugą,—

Bo chciał mieć sieć po środku, więc nitkę snuł

[długą.

Świerszcz, gaduła nam znany, podszedł do pajaka,

—Słyszysz!—rzekł—jakim śmiechem dzwoni nasza

[ląka,

Gdzie, wielce ci życzliwe, szare świerszcze siedzą?

Drwią, że chcesz napowietrzne budować pałace.—

—Nie dbam o to, co mówią... Gdy ukończę prace,

Ciekawy będę wtedy słyszeć—co powiedzą?

Kazimierz Gliński.

## Kronika działalności kobiecej.

— Donoszą z Petersburga o zamiarze założenia instytutu medycznego dla kobiet. Warunki wymagane są takie, co w uniwersytetach na oddziałach medycznych z tą jedyną różnicą, że kurs nauki teoretycznej będzie krótszym o rok jeden, to jest trwać ma lat cztery, natomiast kształcenie praktyczne przedłuży się od jednego roku do lat trzech. Czasu otwarcia instytutu jeszcze nie oznaczono.

— W pobliżu Petersburga ma powstać wkrótce szkoła gospodarstwa domowego i wiejskiego dla kobiet.

— Dwie lekarki zamieszkujące Petersburg zamierzają otworzyć normalny zakład karmienia niemowląt.

— Kuratorką zakładu poprawczego dla dzie-

wczą w osadzie Puszcza jest p. Marya Górka, przełożona p. Marya Kościńska, poprzednio nauczycielka elementarna, posiadająca patent ukończenia nauk gymnazyalnych w Siedlecach. Do przytyku obok skazanych wyrokiem sądu przyjmowane będą nieletnie od lat 8—14, walające się i żebrzące sieroty. Oprócz uczciwego wychowania, dziewczęta będą tam kształcone na gospodynie wiejskie i służące domowe.

— Siostry Miłosierdzia z instytutu S-go Kazimierza na Tamce: Władysława Karwicka i Karolina Chmielińska objęły naczelny zarząd w szpitalach: S-go Ducha i Dzieciątka Jezus. Wizytantorka instytutu S-go Kazimierza, sędziwa już bo 88 lat licząca, matka Joanna Szware, dopełniła instalacji, przywożąc na miejsce przeznaczonej pracy wymienione siostry. Wkrótce nastąpiła podobna instalacja przełożonej w szpitalu S-go Rocha. Siostra Karolina Chmielińska objęła obowiązki po s. p. Felicyi Wojno, która spełniała je z poświęceniem chrześcijańskim przez 32 lata.

— P. Marya Słończyńska zamierza założyć w okolicy ulicy Marszałkowskiej tak zwany ogródek dla dzieci od 5—7, to jest szkołkę systemu freblovskiego. Powtórzyć tu należy uwagę, dawno już wypowiedzianą przez pismo nasze, że szkoły takie są bardzo potrzebne, ale przeważnie dla dzieci matek zajętych poza domem.

— P. Alicya Nowińska, mieszkanka Warszawy, otrzymała pozwolenie na otwarcie szkoły artystyczno-przemysłowej dla kobiet. Program szkoły obejmuje przedmioty: rysowanie ołówkiem, węglem, kredą, pastelami, malowanie farbami wodnymi oraz olejnymi, tak portretów z natury i fotografii, jak i krajobrazów, kwiatów; dalej malowanie na porcelanie, skórze i drzewie, kolorowanie fotografii, heliominiatury, oraz naśladowanie inkrustacji, rzeźbienie marmurowych i złotych ozdób. Nauka będzie praktyczną, bez żadnych wykładów.

— Sale zajęć ubogich dzieci w Kaliszu, istniejące już tam przeszło rok, rozwijają się pomyślnie dzięki opiece pań tamtejszych. Jedną z tych zajętych opiekunek uboższego dziecka wydała odezwe, wzywającą do dobroczynnego zajęcia się tą pożyteczną instytucją, czy to przez wnoszenie składki rocznej, 30 kop., co jest już rzeczą przystępną nawet dla osób bardzo mało zamożnych, czy też przez zajęcie się rozprzedażą wyrabianych przez dzieci przedmiotów. Sale mieszczą 23 dziewczęta i 14 chłopców, a wszystkie te dzieci otrzymują tu opiekę, pożyteczne zajęcia, oraz obiad. Jak takie sale zajęć są potrzebne, nietylko w miastach, ale i na wsi, dowodzą smutne wypadki, które zamieścić trzeba pod rubryką niedoboru działalności odpowiedniej. Oto zaraz w pobliżu Kalisza, we wsi Zagorzynku sześciolatnia dziewczynka, córka miejscowego mularza utonąła w sadzawce; w mieście Kole dwuletnia dziewczynka, Eleonora Myszkówna, podeszła tak nieostrożnie pod śmigieł wiatraka, że została zabita na miejscu; we wsi Lubstowie, w pobliżu miasteczka Koła, trzyletnia Antosia Łukaszewiczówna, zapaliwszy na sobie odzież, śmiertelnie się poparzyła i umarła w męczarniach. W tejsamej okolicy zeszedł ze świata w sposób podobnie okrutny dwuletni chłopczyk Feluś Karolak we wsi Machowie, oraz dwuletnia Franja Stefańska we wsi Rusinowie w powiecie opoczyńskim i czteroletni chłopczyk, Marek Sikora, we wsi Radkowicach w okolicach Hły. We wsi Malinowie w powiecie konińskim wpadła do szafli gorącej wody Stasia Jasińska i nazajutrz umarła wśród cierpień okrutnych. We wsi Chomętowie w powiecie radomskim utonął dwuletnie dziecko włościanina Chrzyszczka. We wsi Bobromiskach w powiecie maryampolskim koń zabił uderzeniem kopyta trzyletnią Kasię Klimowiczównę. Ochronki miejskie, oraz wznoszone w osadach i małych miasteczkach, broniłyby od tego okrutnego stanu rzeczy.

— Ochronka dla dzieci w Łodzi, jakkolwiek nie posiada żadnej subwencji, rozwija się bardzo szczęśliwie, za co, jak donosi „Gazeta Łódzka“, należy się wdzięczność tak p. K. Bełkowskiej, która stoi na czele komitetu, przewodniczącego tutaj, jak i paniom opiekunkom, których jest 82.

Dochody, nietylko nie zmniejszają się, jak to często bywa, gdy pierwszy zapal dla dobrego uczynku przeminie, ale przeciwnie z każdym rokiem wzrastają. W roku sprawozdawczym przedstawiały 2.846 rs.

— Ogródek freblowski dla dzieci został założony w Łodzi przez p. Broniewską. W tych czasach zwiedzała go propagatorka metody freblowskiej u nas i założycielka pierwszego takiego ogródka w Warszawie, p. Weryho, i uznała, iż odpowiada wzorowo swemu zadaniu.

— Kwestya dopuszczenia kobiet do studiów uniwersyteckich w Niemczech weszła na porządek dzienny wskutek petycji podanej do sejmiku Rzeszy, jak to już raz miało miejsce. Izba poselska przekazała ówczas tę sprawę kommissji szkolnej, która obecnie wnosi, aby petycją przekazać rządowi do rozpatrzenia, przeciw o tyle tylko, o ile dotyczy do prawa składania egzaminów dojrzałości i odbywania studiów medycznych, co zostało przyjęte przez większość sejmiku z dodatkiem, aby ministeryum sprawę tę rozstrzygnęło. W zasadzie tak sejm, jak i rząd, nie jest przeciwnikiem rozszerzenia nauki kobiet, co jednak nie stanowi już o urzeczywistnieniu pragnień w petycji wyszczególnionych. Głównym skopułem jest tu fakt, że średnie wykształcenie kobiet w Niemczech nie stoi na tej stopie, aby przygotowywało kobiety do studiów uniwersyteckich; brakuje tu gymnazyów dla kobiet, brakuje ich wskutek tego, że rząd nie ma funduszu na ich wzniesienie—nie ma ich również na założenie takich szkół głównych dla kobiet, gdzie by pobierały nauki, odpowiadające wykształceniu, jakiego tu potrzeba, ani na urządzenie dla kobiet równoległych wykładów uniwersyteckich. Wykłady mieszane, jak to ma miejsce w Szwajcaryi, zostały przez kommissją odrzucone.

— Ilość kobiet uczęszczających na uniwersytety francuskie przedstawia większą jeszcze liczbę, bo 152. Z tych uczęszcza na wydział lekarski: Francuzek 18, Angielek 6, Rumunek 3, Turczynek 2, Greczynka 1, Amerykanka jedna także, oraz 103 innych narodowości. Na wydziale przyrodniczym jest Francuzek 5, cudzoziemek 14; na wydziale filozoficznym 82 Francuzek, cudzoziemek 15. Na tym wydziale najwięcej odznaczającą się słuchaczką jest Greczynka.

— Na kongressie kobiet w Paryżu podniosła głos p. Leonowa Bequet, kobieta już nie młoda, ale bardzo sympatycznej powierzchowności, z wyrazem twarzy rozumnym i łagodnym, ubrana bardzo skromnie. Przemawiała ona za obowiązkiem, aby matka karmiła dzieci swoje, jeżeli tylko zdrowie pozwala jej na to. Przemawiała też młoda Rumunka, przedstawiając położenie kobiet swojego kraju w rodzinie i poza rodziną. Żądała dla tych ostatnich prawa zostania farmaceutką, który to zawód jest już otwarty we Francji, a który byłby o wiele potrzebniejszym w Rumunii, gdzie ilość aptek mogłaby się zwiększyć, zwłaszcza po małych miasteczkach. Następnie podniósł głos mężczyzna, Alzatezyk Schaere, zaznaczając, iż niesprawiedliwym jest usunięcie kobiet od wybieralności na godność sędziego handlowego (conseiller prud'homme), a to z racji, iż bardzo znaczna ilość kobiet zajmuje się handlem, którego niejedną gałąź przedstawia wyłącznie przedmioty wyrobów kobiecych. Podnoszono tu kwestye ważne i potrzebne, aby się nimi zajęto, aby prawo zastosowało swoje przepisy do dzisiejszego stanu rzeczy, ale wystąpiły i kwestye drażliwe, mało się nadające do dyskusji ze względu na dobro i porządek publiczny: te upadły, stłumione prędko znaczną większością głosów.

— Matylda Roos, pisarka szwedzka, otrzymała od Akademii szwedzkiej donacją 500 koron, z funduszu przeznaczonego na nagrody dla autorów „doskonałej zasługi“. Filantropka szwedzka, Bada Wennergoist, została mianowaną przez rząd misyjnych szkół szwedzkich „gospodynią“ w misyjnej szkole szwedzkiej Appelbosch w Południowej Afryce. Znajduje się tam kilkanaście kobiet misyonarek, dla nauczania w szkołkach misyjnych, oraz dla oddziaływania na kobiety tubylców.

— W Rzymie zawiązało się kobiece stowarzy-



szczenie dobroczynności pod nazwą: *Matka katolicka*, „la Madre cattolica“. Wiele pań z najwyższej sfery społeczeństwa włoskiego należy do stowarzyszenia, a między innymi obok księżny Barberini, księżna del Brago, księżna Ludmiła Falconieri, z domu Hołyńska.

— Umarła jedna z najznakomitszych kobiet angielskich, miss Amelia Edwards, uczona podróżniczka, poświęcająca się archeologii zarazem powieściopisarka wyższego talentu, zajmująca jedno z pierwszych miejsc między kobietami piszącymi w języku angielskim. Z pochodzenia Irlandka, miała w sobie żywość uczucia i poetyczność swego narodu; kształcona w domu, okazywała zadziwiającą przedwczesność w rozwoju umysłu. Zanim umiała pisać, tworzyła już małe poemaciki i historyjki. Wiersz jej o sześciu zwrotkach, pod tytułem: *Rycerz z dawnych czasów*: „The Knight of Old“ utworzony w siódmym roku, matka jej, dumna z talentu córki, posłała do tygodnika literackiego, wychodzącego w Dublinie, który przyjął go i wydrukował. W czternastym roku zaczęła już Amelia pisać i być stałą współpracowniczką pisma przeznaczanego dla rodzin „Family Herald“, była przytem namiętną czytelniczką, pożerającą książki, a między innymi dzieło uczonego egiptologa, Botta: „Zwyczaj i obyczaje starożytnego Egiptu“ zajęło ją tak silnie, że ołówek jej odtworzył rozmaite, przedstawiające się jej wyobraźni, naturalnie, fikcyjne, jego krajobrazy. Wkrótce potem przestała pisać, oddała się cała muzyce, do której miała talent nie powszedni, a głos mógłby być zapewnić jej przyszłość jako śpiewaczki, gdyby potrzebowała pracować na utrzymanie. Przebywając latem na wsi, napisała pierwszą powiastkę z życia ludu i odtąd oddała się już literaturze; pisała powieści, nienależące do pierwszorzędnych, ale czytane i cenione w literaturze angielskiej, dla żywości uczucia i obrazowego stylu. Pierwsze miejsce zajmuje tu „Lord Brackenbury“ powieść wydana w 1880 r., ale napisana kilka lat wcześniej, drukowana najpierw w czasopiśmie „Graphic“ z licznymi ilustracjami. Ale już wtedy innego rodzaju zajęcie umysłu nasuwało inne przedmioty jej pióru. Wśród dalekich podróży, które odbywała, widoki natury i obyczaje ludów poznanych zajęły żywy jej umysł; w 1874 r. znalazła się nad Nilem i pierwszy opis odbytych jej podróży: „Untrodden Peaks and unfrequented Valleys“ (Szczyty nogą ludzką nietknięte i doliny nie zwiedzane) z ilustracjami jej własnego rysunku, zwróciły na nią uwagę uczonego świata, gdy dzieło: „A Thousand Miles up the Nile“ (Tysiąc mil po Nilu) z rysunkami także jej ołówka, zyskało jej wyższe już uznanie uczonego świata. Całą kartę zapisać-by można jej tytułami jako członka uczonych towarzystw w ojczyźnie i zagranicą, lecz obok tego, a raczej po nad tem wszystkiemi, góruje szlachetna postać kobiety zacnej, umiejącej silnie kochać wszystko, co kochać należy ludziom uczciwym.

## Z bieżącej chwili.

— W Petersburgu otworzono uroczyste towarzystwo „Espero“, którego zadanie jest wprowadzić w użycie dla stosunków handlowych język międzynarodowy, zwany „Esperanto“. Na pierwszym posiedzeniu wybrano komitet Towarzystwa.

— Popis Tow. Muzycznego nie sprawił dobrego wrażenia. Między uczniami i uczennicami klasy deklamacyi nie ujawnił się ani jeden talent — nie, coby świadczyło o oryginalnym pojęciu rzeczy. Niekórzy uczniowie okazywali wprawę niemal aktorów skończonych, ale było to wszystko wyuczone i naśladowane.

— Tow. Wzajemnej Pomocy odbyło doroczne zebranie pod przewodnictwem prezesa swego, Leopolda Kronenberga. Zebrało się przeciw członków tylko dwunastu i przez wyrazili żal, iż członkowie tak mało się interesują losami tej pożytecznej instytucji. Płacąc pół rubla miesięcznie, otrzymuje się po dwudziestu latach pensją emerytalną, 75 rs. rocznie. Za opłatą 1 rs. miesięcznie pensja dożywotnia podnosi się do 120 rs., przy skłádce 2 rs. miesięcznie do 180 rs. Artysta muzyczny, lub osoba w muzyce zamiłowana, może osiągnąć tesame warunki przez zapisanie się do Tow. wzajemnego wsparcia artystów muzycznych, oraz ich wdów i sierot, które istnieje od 1848 r. Z końcem 1891 r. kapitał Towarzystwa wynosił 45.188 rs. a powiększył się z zysku dochodów swoich o 2.075 rs., oraz o rs. 1.000 z ofiary p. Leop. Kronenberga.

— Emigracja do Ameryki nie ustaje. Według spisu urzędowego od 2 Marca do 1 Kwietnia wyszło z powiatu przasnyskiego 111 osób, z powiatu ciechanowskiego 35, z garwolińskiego 16 osób i tak jest ustalone niejako wychodźstwo, gdy z drugiej strony nierzadko się zdarzają powroty. W przeszłym tygodniu przejechało przez Warszawę 16 osób z okolic płockich i lubelskich, wracających do kraju kosztem rodziny. Inni biedacy, niemający pomocy takiej, wiodą tam życie nędzne.

— Odezyt o Brazylii wypowiedział we Lwowie, w sali ratuszowej, podróżnik Hempel.

— W Krakowie bardzo smutne następstwa wywołała odmowa rady miejskiej, na żądanie Matejki odstąpienia mu na własność starego kościołka Ś-go Ducha, który jako część poszpitalnego gmachu został na zburzenie skazanym. Matejko chciał go przerobić odpowiednio, doły wraz z rodziną swoją zamieszkać, piętro górne zając na pracownię swoją i zbiory sztuki, które postanowił po śmierci przekazać miastu. Mogłoby więc powstać tym sposobem miejskie muzeum sztuki, zwłaszcza że już poprzednio rektor uniwersytetu Jagiellońskiego, ksiądz Chotkowski oraz Dr Zoll, przemawiali za ocaleniem starej świątyni. Już nawet rzecz była w części postanowiona, ale następnie Rada miejska cofnęła się, do czego przyłożył się bardzo ostry i gwałtowny list Matejki, w którym oznajmiając Radzie, iż zrzeka się nadanego mu przez nią obywatelstwa honorowego, przed dziesięcią laty za obraz *Hold Pruski*, obwieścił zarazem zwrot 1.900 złr. ofiarowanych mu niegdyś jako dar miasta. Dodając, że Kraków już żadnych jego dzieł oglądać nie będzie, nazwał nikczemnymi *liberalami* tych, którzy w niej zasiadają. Że są to ludzie mniej interesujący się sztuką i pamiątkami, rzecz niewątpliwa. Rada obrażona przeciw gwałtowności wyrażenia Matejki, przyjęła jednoznacznie jego rezygnacyę z godności obywatela Krakowa. Razem rzecz bardzo smutna. Matejko wykończył w tych czasach obraz *S-tej Kingi*, który został nabytym przez hr. Borkowskiego.

— Zawiązał się w Krakowie komitet z Dr Łepkowskim, uczonym archeologiem, na czele, w celu wzniesienia nagrobku Oskarowi Kolbergowi.

— Akademia Krakowska Umiejętności ogłosiła konkurs na stypendyum z zapisu ś. p. Seweryna Gałęzowskiego w kwocie 5.000 frank. Przedmiotem konkursu są studia naukowe, dokonane za granicą, z czem łączy się myśl „ażeby przy po-

mocy tego stypendyumu, uniwersytety, tak krakowski jak lwowski, posiadać mogły zapas sił nauczycielskich a w każdym razie kraj — ludzi, mogących wpływać samodzielnie na postęp umiejętności.“ Kandydat starający się o to stypendyum, jeżeli nie jest docentem lub asystentem przy jakimkolwiek krajowym lub zagranicznym uniwersytecie, potrzebuje posiadać wyższy stopień naukowy i być znanym z gorliwej pracy w zawodzie swoim. W każdym zaś razie wymaga się od niego biegłości w języku polskim. Mogą się ubiegać o stypendyum kandydaci, poświęcający się naukom przyrodniczym lub matematycznym.

— Pod przewodnictwem ministra Zalewskiego odbyła się w Krakowie narada w sprawie opisu Galicji do zbiorowego dzieła „Austro-Węgry.“ Dzieła tego wyszło już tomów kilka, na Galicję przypada z kolei ukazanie się poświęconego jej tomu w 1893 r. Pisarze, którzy przyrzekli tu swój udział są: Osowski Gotfryd, archeologia przedhistoryczna; prof. Smolka i Anatol Lewicki historia, Dr Mayer, ludność pod względem przyrodniczym, prof. Malinowski, dyalektologia, prof. Tarnowski, literatura polska, prof. Ogonowski, literatura, prof. Szajnocha, górnictwo, prof. Maryan Sokołowski i prof. Łuszczkiewicz, sztuki plastyczne, Dr Tomkiewicz, gospodarstwo rolne. Oprócz tych działów zostali jeszcze zaproszeni inni pisarze i badacze. Książka cała wydrukowana siłami zbiorowemi ma obejmować 35 arkuszy druku i być ozdobioną licznymi rycinami.

— W Hamburgu powstał zamiar wyprawy naukowej na Ocean Biegunowy Poł. z celem badań naukowych. Przewodniczy tu prof. Neumayer dyrektor obserwatorium marynarki. Wyprawa ma zacząć od zwiedzenia i poznania południowych krańców Ameryki, przeprowadzając badania magnetyczne, meteorologiczne i zoologiczne. Dr Michelson, uczony badacz, obejmie kierunek wyprawy, która ma wyruszyć najpóźniej w Lipcu i trwać dwa lata.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się: Arkusz 12-ty powieści pod tytułem **Na nowym lądzie**, przez Perfalla. Przekład z niemieckiego.

## Pierwsza Szkoła Koronkarstwa

NAUKA BEZPŁATNA.

Zapis odbywa się w Poniedziałki i Środy od godziny 12 do 1 z południa. Desenie i przybory do wyrobu koronek nabyć można w Szkole Krakowskiej-Przedmieście Nr 42, mieszkania 3.

**TREŚĆ:** Pogawędka, przez Quisa. — Wychowanie naszych córek (dokończenie). — Pierzchliwy ptak, powieść, przez Kazimierza Glińskiego (dalszy ciąg). — Przegląd teatralny, przez Stanisława Krzemińskiego. — Samobójstwo, przez Kazimierza Glińskiego (wiersz). — Kronika działalności kobiecej. — Z bieżącej chwili.

**Dodatek obejmuje:** Arkusz 12-ty powieści pod tytułem **Na nowym lądzie** przez Perfalla. Przekład z niemieckiego. Przegląd mód. 38 wzorów robót z opisem. — Sekreta gospodarskie. — Dyspozycya stołu.



**Serwetka na bai karbowanej.**

Rycina Nr 4 w Bl. Nr 21. (Deseń pierw. str. tabl. Nr VII, fig. 31).

Serwetka 56 c. w kwadrat na bai karbowanej koloru oliwkowego, otoczona rzędem pikotów wykonanych szydełkiem i różnokolorowymi bąbelkami i wieszadelkami. Fig. 31 przedstawia deseń, który wykonać rozmaitego koloru włóczką, jaką się używa na roboty szydełkowe, sutaszem złotym i niemi „brokat“ koloru brązowego. Brzegi górne fig. narożnych wykonać włóczką koloru terrakota, figury liściowe włóczką zielonawo-popielatą w dwóch cieniach, pierwsze otoczyć ścięciem gałązkowym włóczką czarną a drugie złotym wązkim sutaszem mocowanym czarną włóczką. Figure poniżej ścięciem czerwanym kolorem niebieskim, liście częścią kolorem oliwkowym a częścią niebieskim, otoczyć górne i wypełnić dolne

przedziel. 1 pow. o. w następ. o., potem 8 ścis. o. w następ. 8 o., 1 śc. łań. o. w nast. o. i 1 śc. łań. o. w ostatnie z pierwszych 7 ocz., od \* powtórzyć, ale przy każdym powtórzeniu przed przyczępieniem 36 pow. ocz. należy przesunąć przez poprzednie w kółko złączone 36 pow. o.—2 kolej: ciągle naprzemian: 1 ścis. o. w o., które stanowi środek poprzedn. kolej, 7 pow. o.—3 kolej: \* 8 ścis. o. w następ. 8 o., 9 pow. o., 1 o. przyczępić do 8, 4 śc. o. w następ. 4 z 9 pow. o., 2 śc. o. przedziel. 1 pow. o. w następ. ocz., 4 śc. ocz. w następ. 4 o., 1 śc. łań. ocz. w ostatnie z pierw. 8 ścis. ocz., od \* powtórzyć. — 4 kolej: po drugim brzegu roboty, ciągle naprzemian: 1 słup. w następ. oczko założenia, 1 pow. ocz., 1 oczko opuścić.



Nr 5. Kapelusz podróżny ze słomy.



Nr 4. Kapelusz z tiulu.

Nr 6. Uczesanie głowy młodej osoby.



Nr 1. Kapelusz ogrodowy, zarówno dla starszej jak dla młodszej osoby.  
Nr 2. Kapelusz podróżny z filcu. Nr 3. Kapelusz z materiału koronkowego i koronki.  
Nr 7. Kapelusz z koronki i z kwiatów.  
Nr 8. Suknia z materiału koronkowego przybrana „wstążką”.

fig. kolorem terrakota i czarnym. Figury wstążkowe wykonać ścięciem łańcuszkowym kolorem brązowym a środkowe figury zielono-popielatym w kilku cieniach, wypełnić ścięciem supelkowym kolorem złotym a otoczyć gałązkowym kolorem czarnym. Pikoty wykonać szydełkiem włóczką koloru oliwkowego, jak następuje: \* 5 pow. o., następne o. opuścić, 1 śc. o. w następ. o., 1 pół-słup., 1 słup., 1 podwój. słup. w nast. 3 o., od \* powtórzyć. Podszyć serwetkę lekkim materiałem wełnianym i przyczępić podług ryc. wieszadelka i bąbelki.

**Koronka wykonana szydełkiem do ozdoby bielizny.**

Rycina Nr 6 w Bl. Nr 21.

Koronka wykonana krętą baweiną Nr 50 na założeniu odpowiedniej ilości oczek, jak następuje.—1 kolej: \* 7 śc. o. w następ. 7 o., 36 pow. o., które zamknąć w kółko ku prawej stronie a jednocześnie ostatnie ścis. ocz. przyczępić: 3 razy naprzemian: 8 śc. o. w następ. 8 o. z 36 pow. o., 2 ścis. o.

**Suknia dla młodej osoby.**

Rycina Nr 12 w Bl. Nr 21.

Suknia formą „princesse“ z materiału krepowanego koloru białego, zapinana w tylnej części, w przedniej wycięta i dopełniona chusteczką z jedwabnej gazy „Marie Autoinette“.

**Woreczek podróżny na pieniądze (robotą drutową).**

Rycina Nr 13 w Bl. Nr 21.

Woreczek wykonany na drutach ścięciem patentowym kordonkiem. Zapięcie brązowe, otwiera się za pociśnięciem sprężynki. Rozpocząć od górnego brzegu bardzo cienkimi drutami na założeniu 72 o. tam i napowrót.—1 kolej: zebrać na drut i nitkę przeciągnąć na zewnątrz, 1 o. zawsze zbierać na drut, \* dr. owinąć, następ. o. zebrać w sposób, jakby się miało przerobić odwrotnie, 1 o. zwyczaj. od \* powtórzyć, następnie 1 o. zwyczaj. od \* powtórzyć, następnie 1 o. zwyczaj.—2 kolej: o. zebrać, \* dr. owinąć, następnie przerob. w sposób jak wyżej, następnie o. przerob. razem z nitką założenia zwyczajnie, od \* powtórzyć, na-



koniec 1 ści. o.—3 kolej do kolei 16, jak poprzednia. — 17 kolej: na drutach nieco grubszych zebrać, zbiorowe o. przerobić zwyczaj., ale nitkę założenia przerabiać w sposób, jakby odwr. i napowrót przez te same oczka, pod które była podłożona. — 18 kolej: o. zebrać, następne razem z nitką założenia przer., \* dr. owin., następ. ocz. tak przerob., jakby odwr., następne ocz. razem z nitką założenia przerob. zwyczaj., od \* powtórz.—19 do 54 kolei ciągle naprzemian, jak kolej 17 i 18. Następnie znowu cieńszymi drutami 21 kolei jak pierwsze 16 kolei i wykończyć podług ryc. Mały bąbelek brązowy wykończyć całość.

### Poduszka do podróży ozdobiona haftem.

Rycina Nr 16 w Bl. Nr 21 (Deseń pierw. str. tabl. Nr VI, fig. 30).

Poduszka 41 cent. dług. a 37 c. szer., wykonana ze skórki safianowej groszkowanej. Haft wykonany rozmaitego koloru jedwabiami i złotym sznureczkiem.

### Suknia dla młodej osoby.

Rycina Nr 17 w Bl. Nr 21.

Suknia z „épingliny“ koloru żółtego i niebieskiego, napierśnik z „surah“ koloru żółtego. Dolny brzeg sukni w drobne zakładki, po wykonaniu których spódnice zaopatrzyć podszewką. Szeroki pas ze wstążki wykończy całość.

### Płaszcz podróżny z materiału „gloria“ i kapelusz podróżny.

Rycina Nr 18 i 19 w Bl. Nr 21.

Płaszcz wykonany z materiału „gloria“ w kolorze brązowym bez rękawów. Plecy i przednie części ułożone w fałdy. Peleryna



Nr 9. Worek na plaid ozdobiony haftem (do Nr 10 i 11). Deseń odwr. str. tabl. Nr XII, fig. 64—66.



Nr 12. Napierśnik z krepy i koronki.



Nr 15. Sposób uniesienia sukni powłóczystej.



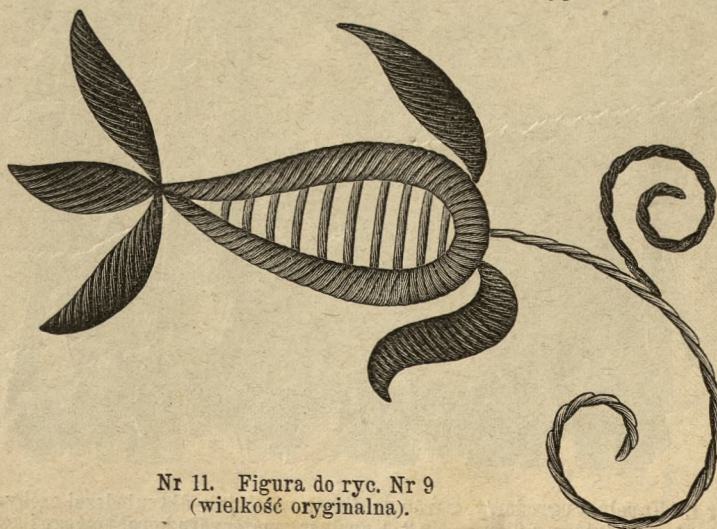
Nr 13. Czepeczek dla starszej osoby.



Nr 16. Szlaczek do ozdoby bluzek fartuszków i t. p. (robota krzyżowa).



Nr 10. Figura do ryc. Nr 9 (wielkość oryginalna).



Nr 11. Figura do ryc. Nr 9 (wielkość oryginalna).

wstążkami. Rączka z drzewa jasnego. Brzegi parasolki otoczone falbaną z tiulu koronkowego plisowaną.

### Krawatka „Lavallière.“

Rycina Nr 22 w Bl. Nr 21.

Krawatka wykonana z materiału jedwabnego koloru niebieskiego w rzucane grochy koloru białego. Potrzeba materiału: 158 c. dług. a 28 c. szer. ułożyć podług ryc.

### Pasek.

Rycina Nr 23 w Bl. Nr 21.

Pasek z czarnej skóry ozdobiony haftem maszynowym, wykonanym czarnym jedwabiem, oraz dżetowemi kamyczkami. Przednia część sznurowana, z tyłu zaś zapina się na klamrę ze skóry.

### Chusteczki do nosa.

Rycina Nr 24—26 w Bl. Nr 21.

Chusteczki z białego batystu otoczone dzierganymi ząbkami, kolorowemi lub białemi i ozdobione odpowiednim haftem, merszką lub zakładkami.

### Kokarda.

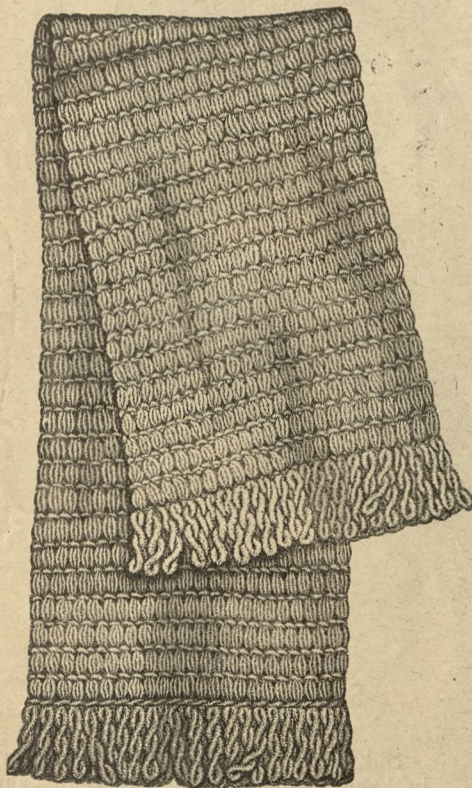
Rycina Nr 27 w Bl. Nr 21.

Kokarda z gazy jedwabnej koloru żółtego (22 c. szer. a 44 c. długości) złożonej podwójnie i z czarnej koronki ułożona podług ryc.

### Napierśnik „Serviteur.“

Rycina Nr 28 w Bl. Nr 21.

Napierśnik wykonany z krepy



Nr 14. Szalik wykonany szydełkiem.

239 c. obwodu, w tylnym szwie i na ramionach 92 c. dług., z przodu zcięta mniej więcej na 84 c. dług. Kołnier „Médicis“ ułożony w fałdy z przodu i z tyłu, dalej zaś zmarszczony i zaopatrzony w sznureczki do wiązania podług ryc.

Kapelusz z filcu koloru brązowego, przybrany tegoż koloru wstążką i ptaszkiem w kolorze odpowiednim.

### Parasoliki.

Rycina Nr 20 i 21 w Bl. Nr 21.

Parasolik Nr 20 zupełnie płaski, formą japońską, pokryty białym jedwabnym materiałem i białą koronką haftowaną. Laseczka z drzewa jasnego. Parasolik Nr 21, również płaski, na 12 prętach, pokryty tiulem białym, rzybrany wewnątrz, jak wskazuje rycina



Nr 17. Puff do drobnej bielizny ozdobiony haftem. (Deseń odwr. str. tabl. Nr XIII, fig. 67).

chińskiej koloru różowego, kołnierzyk stojący z teje krepy układany w fałdki.

### Woalki.

Rycina Nr 29 i 30 w Bl. Nr 21.

Woalki z tiulu bądź-to białego koloru, bądź czarnego, z odpasowanym gęstszym szlakiem.

### Płaszcz podróżny nieprzemakalny.

Rycina Nr 31 i 35 w Bl. Nr 21

Płaszcz z materiału nieprzemakalnego w kratki białe i czarne, spięty na 2 rzędy guzików. Kołnier wykładany i pasek podług ryc.



## Burnusik „cape“ z sukna.

Rycina Nr 32 w Bl Nr 21.

„Cape“ z sukna koloru popielatego, dolny brzeg otoczony falbaną 17 c. szer. wycinaną w zęby, 2 razy przemarszczoną i zakończoną nagłówkiem 3 c. szer. Taką falbaną 16 c. wys. a 250 c. obwodu wykończy górą część podług ryc.

## Nocna sukienka z majtkami dla chłopczyka od 3—5 lat.

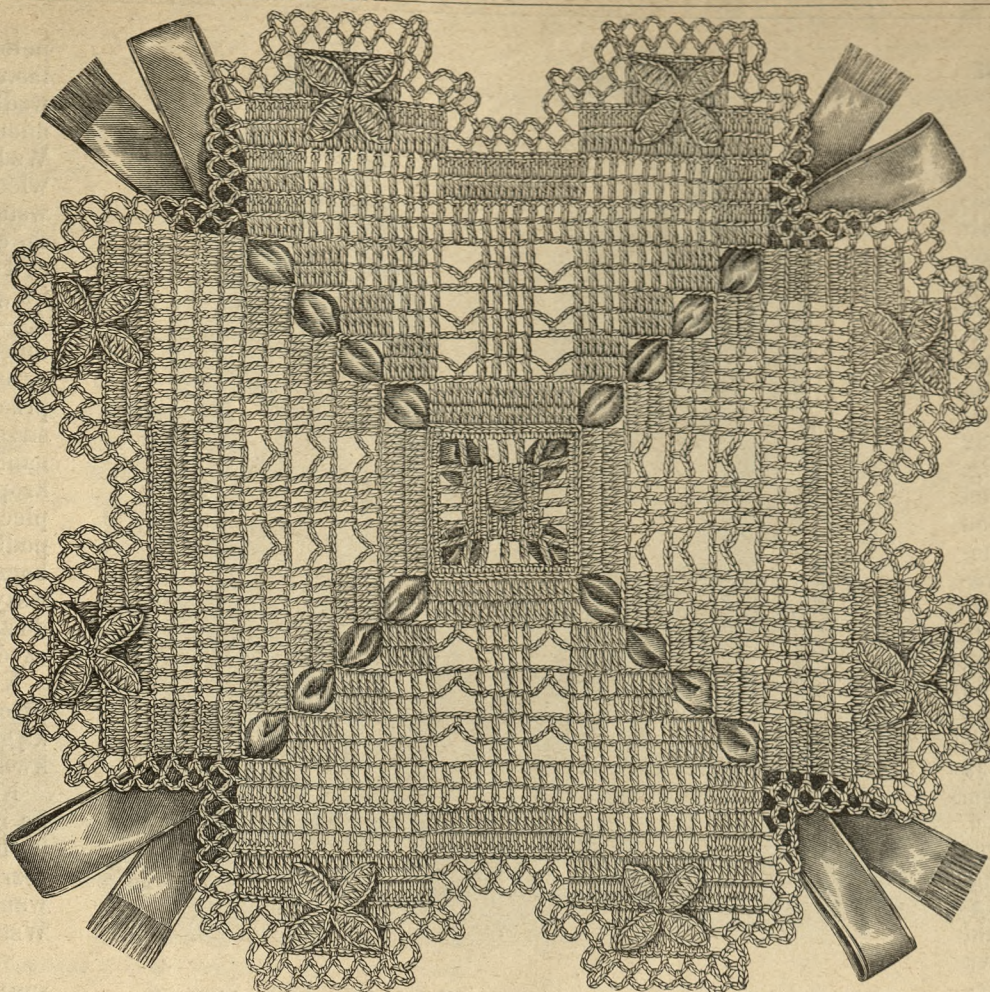
Rycina Nr 23. (Krój pierw. str. tabl. Nr V, fig. 27—29).

Po dopełnieniu złożenia fig. 27 skrajając z dymki fig. 27 i 29 po dwie części złożone wzdłuż środka, ale zwrócić uwagę w fig. 27 na kontur przedniej części stanu a w 29 na kontur spodniej części. Zeszyć stan od 59 do 60, tylne części od 60—62, przednie części od 60 do 61. Wszyć kołnierzyk, rękawy i wykończyć podług ryc.

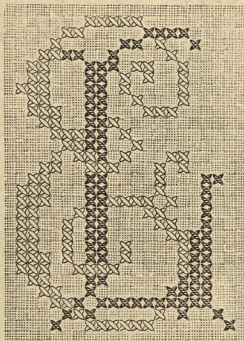
## Sukienka nocna dla chłopczyka od 2—4 lat.

Rycina Nr 24 (Krój pierw. str. tabl. Nr III, fig. 18—20).

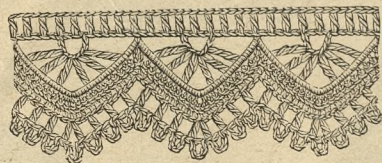
Skrajając z barchanu fig. 18 jedną część złożoną wzdłuż środka. Fig. 19 dwie części. Fig. 20 z uwzględnieniem spodniej części; należy jednak przedtem przydłużyć w kierunku strzałki fig. 18 i 19 stoso-



Nr 18. Podstawka pod wazoniki, flakony i t. p. (robota szydełkowa, wielkość oryginalna).



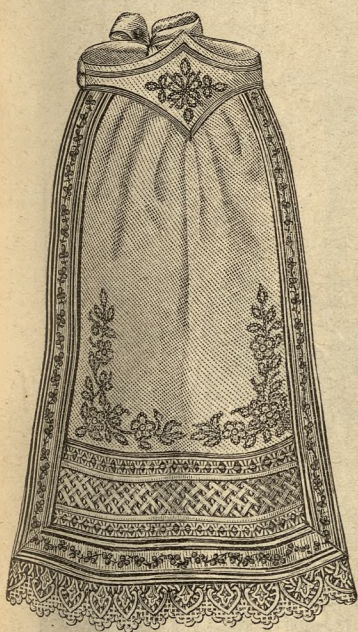
Nr 21. Monogram (robota krzyżowa).



Nr 19. Koronka wykonana szydełkiem.



Nr 20. Monogram.



Nr 22. Fartuszek ozdobiony haftem krzyżowym (do ryc. Nr 27 i 28).



Nr 23. Nocna sukienka z majtkami dla chłopczyka od 3—5 lat.

(Krój pierw. str. tabl. Nr V, fig. 27—29).  
Nr 24. Nocna sukienka dla chłopczyka od 2—4 lat. (Krój pierw. str. tabl. Nr III, fig. 18—20).



Nr 25. Suknia z „surah“ i „diagonal“ ozdobiona sutaszem.

Nr 26. Suknia z muslinu wełnianego ozdobiona koronką.

wnie do potrzeby. Wzór ma 77 c. dług. z przodu a z tyłu 81 c., obwodu zaś 170 c. Po przymocowaniu fałd w stanie, trafiając każdy  $\dagger$  na kropkę i po połączeniu części podług cyfr otoczyć tylny brzeg listwą z wierzechu i pod spodem. Zaopatrzyć koszulę w dziurki i w guziki. Wycięcie szyi otoczyć falbaneczką haftowaną 3 cent. szer. Rękawy zeszyć podług cyfr, ozdobić falbanką, zmarszczyć w fałdki od  $\dagger$  do  $\dagger$  i wszyć w koszulę.

## Suknia z „surah“ i materiału „diagonal“ ozdobiona sutaszem.

Rycina Nr 25.

Suknia z materiału „diagonal“ koloru piaskowego, ozdobiona podług ryc. sutaszem koloru brązowego. Rodzaj koszulki i górne bufiaste rękawy z „surah“ tegoż koloru. Suknia zapinana z tyłu.

## Suknia z muslinu wełnianego ozdobiona koronką.

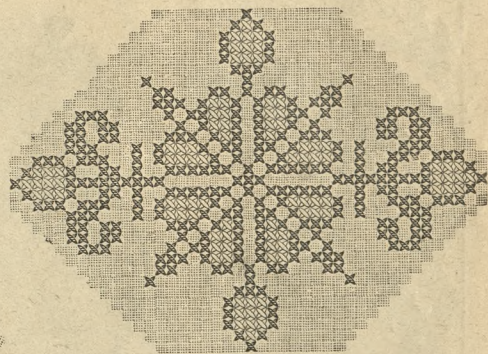
Rycina Nr 26.

Suknia koloru jasno-popielatego w deseń czarny, przybrana jak wskazuje ryc. czarną koronką i falbaną. Pasek z czarnej jedwabnej wstążki zakończony kokardą z końcami z lewego boku.

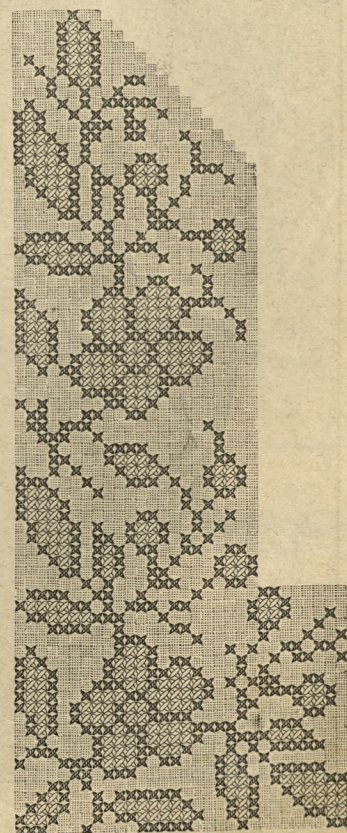
## Suknia dla panienki od 13—15 lat.

Rycina Nr 29.

Suknia z kaszmiru koloru popielatego zapinana z tyłu, rodzaj gorsecika ozdobionego haftem maszynowym, wykonanym złotą nitką i jedwabiem popielatym. Wykończyć podług ryc.



Nr 27. Haft do ryc. Nr 22.



Nr 32. Haft do ryc. Nr 22.



## Suknia z bluzą i z paltotem, oraz kapelusz.

Rycina Nr 35—38. (Krój odwr. str. tabl. Nr VIII, fig. 32—50).

Suknia z materiału wełnianego koloru popielatego, złożona z spódnicy, paltota i z bluzki z „surah“ ponsowego, której wzór przedstawia rycina Nr 35. Spódnice skrajając z podszewki koloru popielatego 103 c. dł. z przodu a 110 c. dł. z tyłu, 204 c. obwodu. Dolną część obszyć falbanką 4 c. szer. Wierzchnią spódnice skrajając z materiału i z podszewki jedwabnej podług kroju fig. 32 jedną część złożoną wzdłuż środka. Fig. 33 dwie części. Zeszyć podług cyfr od \* do \*, zaopatrzyć w kieszenie pod kłapkami wyciętymi, i wykończyć spódnice jak zwyczajnie. Następnie skrajając fig. 34 i 35 z materiału i z podszewki po dwie części, połączyć od 5 do 6, zaopatrzyć w fiszbiny i w przednim, oraz w tylnym brzegu w dziurki do sznurowania popielatym jedwabnym sznureczkiem. Bluzka nosi się pod spódnicą. Skrajając z podszewki fig. 36—39 po dwie części. Fig. 43 rękawy. Potem z „surah“ fig. 40 i 41 po jednej części. Fig. 44 dwie części złożone wzdłuż środka, ale należy zwrócić uwagę w fig. 43 i 44 na kontur spodniej części rękawa. Po wykonaniu zaszepek i fałd wskazanych połączyć części aż do szwu ramiennego i przednią część bluzki ozdobić haftem wykonanym złotem na wstążce atlasowej czarnej. Połączyć prawą



Nr 29 Suknia dla panienki od 13—15 lat.

Nr 30. Ubranie dla chłopczyka od 5—7 lat.

połową od 17 do 18 z częścią tylną. Przyfastrygować materiał do podszewki wzdłuż wycięcia szyi, pach, oraz na ramionach i wykonać szew od 15 do 16. Wzdłuż linii zgięcia bluzę wyłożyć i przewlec tasiemkę. Kołnierzyk przybrać wstążką haftowaną i wszyć odpowiednio do cyfr. Rękawy wykonać podług ryc. cyfr i znaków. Paltot skrajając z materiału, i z „surah“, jako podszywka podług fig. 45—48 po dwie części. Rękawy z uwzględnieniem konturu spodnich części, ale przedewszystkiem dopełnić fig. złożone i przednie części przydłużyć w kierunku strzałki stosownie do potrzeby. Po wykonaniu zaszepek, wszyć kieszenie od dwukropka a do dwukropka b, zaopatrzyć plecy w górze na 12 cent., w dole na 4 c. podkładem i materiałem. Zeszyć plecy, boczki i przednie części podług cyfr, wszyć kołnierzyk i wykończyć kłapkami do zapinania podług ryc. Rękawy zmarszczyć od † do † i wszyć w paltot.

Kapelusz Nr 37, z pleśni słomianej przezroczystej koloru naturalnego, z niską główką, przybrany bukietem różowych kwiatków i różową wstążką 6 c. szer. |

Kapelusz Nr 38, z grubej słomy z główką niską; na samym wierzchu umocowany bukiet z konwalii i listków, które są rozrzucone na rondzie a w górze umocowane morową zieloną wstążką 6 c. szer. Wstążki wiszące z tyłu.

**UWAGA.** Tablica krojów, objaśniająca wzory ubiorów i robót w N-rze dzisiejszym dołączoną była do zeszłego N-ru „Bluszczu.“



Nr 31. Paltocik dla chłopczyka od 4—6 lat. (Krój odwr. str. tabl. Nr XI, fig. 51—55).

Nr 32. Suknia ranna z fałdą „Watteau“ (do ryc. Nr 14 w Bl. Nr 21).

Nr 33 i 34. Suknia i kapelusz dla panienki od 10—12 lat. (Krój pierw. str. tabl. Nr I, fig. 1—9).

Nr 35—38. Suknia z bluzą i paltotem, oraz kapelusze dla młodych osób. (Krój odwr. str. tabl. Nr VIII, fig. 32—50).



# GOSPODARSTWO MIEJSKIE I WIEJSKIE.

## Pogawędka gospodarcza.

Praca kobiet. — Gospodynie płatne i szwaczki. — Jak się urządzać przy gotowaniu proszonego obiadu. — Co mówi Brillat-Savarin. — Karczochy i szparagi. — Raki i ostrygi. — Herbata firmy Ratyńskich z Kiachty.

Tak ciężkie są dziś warunki pracy, tak trudno o nią, że bez zdziwienia wyczytaliśmy w jednym z pism, iż na ogłoszenie o potrzebie lektorki zgłosiło się aż 100 kandydatek, a po umieszczeniu na drzwiach „już nie potrzeba“ dzwoniło dzień cały, domagając się jeszcze pracy. Tak wielka konkurencja pracy w mieście, nie zniewala jednak młode a potrzebujące jej kobiety uczenia się i poświęcenia gospodarstwu.

Na każdym kroku spotykamy się z utyskiwaniem, że nie ma płatnych gospodyń, tak w mieście jak i na wsi. Bo że ktoś pragnie dostać miejsce gospodyni nie dowodzi jeszcze, że się zna na gospodarstwie i ta ogólna nieumiejętność rodzi taki brak zaufania. Nasza powieściopisarka pani Maréne, zwróciła uwagę na proletariat szwaczek podczas lata w mieście a na brak ich na wsi, gdzie łącząc się w stowarzyszenie pewnej okolicy, mogłyby oszywać całe wsie dzisiejszych zagonowych właścicieli, rozwijając w nich jaki taki gust a nawet ucząc pojętniejsze swego fachu. Na urzeczywistnienie tego potrzeba jednak koniecznie ręki, czyli głowy pań ziemianek, pod których egidą utworzyć by się mogła podobna praca. W Kolegdy na rok 1892, w małym obrazku przedstawiłam smutny los pańien do gospodarstwa przedziergniętych w szwaczki, a jednak jak mało jest adeptek gospodarstwa, jak mało, choć to zajęcie tak miłe, tak zapelniające życie i dające porządną kawalek chleba, bo wszędzie są nawoływania o dobre gospodynie, choćby płatne, tam, gdzie pani domu nie może lub nie chce się nim zająć z zamiłowaniem.

Mam zamiar dać w tej chwili pewną lekcję co do punktualności przy obiadach proszonych, którą po większej części wszyscy kucharze zaniedbują. Osoby przybyłe a zaproszone są zapewne głodne, gdyż tak się urządzili z obiadowaniem dnia tego aby się punktualnie stawić na oznaczoną godzinę, dłuższa więc zwłoka wprawia ich w zły humor, a wtedy najlepszy obiad nie smakuje. Otóż daję tu praktyczną radę; w robocie kuchennej czyli w gotowaniu, lepiej zawsze być zaawansowaną jak spóźnioną, jakkolwiek by był ten obiad. Łatwiej zawsze opóźnić ugotowanie przygotowanej potrawy, niżeli przez opóźnienie nie mieć czasu na dokładne jej zrobienie; bo w prędkości robi się źle i zawsze wtedy w obiedzie będzie coś szwankować. Mylne jest wyobrażenie, że dobry obiad pozwoli zapomnieć o czekaniu nieznośnym dla zgłodniałych żołądków. Ileż razy widziałam wystawne obiady spożywane w złych humorach z powodu długiego oczekiwania. Brillat-Savarin w znanym dziele „Physiologie du goût“ powiedział: „un quart d'heure de grâce pour le cuisinier“ — kwadrans spóźnienia darowuje się kucharzowi na

ostatnie dopełnienie swej sztuki, a ja dodaję, że nie pilnująca się skrupulatnie godziny gospodyni nie jest dobrą gospodynią.

Byłam w tych czasach na obiedzie w hotelu Brühlowskim, gdzie, jak wszyscy wiedzą, kuchnia jest wyborna i wielce urozmaicona, kazałam sobie podać karczochy, podano mi tak nie dobre, że zjeść nie mogłam; widząc to obok siedzący smakosz, powiedział mi, co wiedzieć powinnam była: „po co pani kazała sobie podać karczochy, kiedy jak są szparagi to już karczochy nie dobre“, miał słuszność, najlepsze jesienią. A drugie: raki są najlepsze w miesiącach do których nie wchodzi litera r. — Kwiecień, Maj, Lipiec, a jak są raki to się już ostrygi nie jadają.

Na zakończenie dodam jedno moje nowe doświadczenie. Smakował mi likier francuzki „crème de thé“ — zaczęłam robić różne próby; na herbacie firmy Ratyńskich, Jerolimaska 84. Likier okazał się jasny i aromatyczny; zrobiłam próbę na zielonej, i na żółtej, i na czarnej 2 rublowej, wszystkie trzy były wyborne, naturalnie najjaśniejszy był z zielonej, ale z 2 rublowej miał również pyszny aromat i smak.

L. C.

Firma J. Łazowski przeniosła się z pałacu Zamojskich na ul. Niecałą pod Nr 2, gdzie otworzyła wielki skład wybornego wiślanego kawioru, który wyrabia w Nieszawie przy brzegach Wisły ze świeżo łowionych jesiotrów. Gdybyśmy mieli ten kawior w zimie, niezawodnie nie płacilibyśmy po 3 ruble za funt, mogąc go mieć po rs. 1 z kopejkami.

L. C.

## Korzenie i aromaty.

Korzenie wszelkie i aromaty do zaprawiania potraw są jedną z pierwszych potrzeb w kuchni wyższej czyli wykwintnej.

Potrzeba zawsze mieć pod ręką w kuchni:

Sól białą, zwaną śniegówką i sól czarną czyli kamienną, pieprz biały, pieprz czarny i kajennę.

Muszkatołowy kwiat i muszkatołową gałkę, goździki, cynamon i wanilię.

Majeranek, tymianek czyli cąber, liście bobkowe, czosnek, musztardę angielską w proszku, pieprz turecki, oliwę prowanską, zwyczajny ocet mocny bez aromatu, ocet estragonowy i ocet winny. Dalej mąkę z kaszki, która do zaprawiania jest najlepsza a którą wybornie zastępuje kaszkowata „krupeczatka.“ Wodę pomarańczową, cukier w mączce, karmel, oraz korzenie mieszane.

Pod nazwą korzenie w ogóle w kuchni, rozumie się pewną ilość aromatów różnych gatunków pomieszanych z sobą, używanych do wszelkich zimnych potraw, galantin, pasztetów i t. p.

Podajemy tu stosowne połączenie na wagę:

pół luta tymianku czyli cąbra, gramów 8.

pół luta liści bobkowych, gramów 8.

1/3 luta majeranku, gramów 4.

1/4 luta rozmarynu, gramów 4.

Wysuszyć te korzenie w papierowym woreczku; gdy zupełnie wysuszone, utłuc w moździerzu:

z 1 lutem muszkatołowej gałki lub kwiatu, 15 gramów.

1 lutem goździków, 15 gramów.

1/2 lutem pieprzu białego, 8 gramów.

1/4 luta pieprzu kajenna, 4 gramy.

Lut nasz zawiera 13 gramów, tylko jednak zamieniając francuzką wagę na naszą, lepiej przy korzeniach zwłaszcza być skąpszą niżeli rozrzutną.

Po dokładnem utłuczeniu, przesiał przez bardzo gęste sito jedwabne jeżeli można.

Utrzymywać je w suchej butelce mocno zakorkowanej, Korzenie używają się w połączeniu z solą lub same; otóż proporcja jest taka na ówierć funta tłuczonej i przesianej soli bierze się skąpe 2 łuty korzeni wymieszanych.

Stosując się do takiej proporcji w połączeniu korzeni, najprzód oddzielnie a następnie wymieszanych z solą, można być pewnym dobrego przyrządzenia żądanej potrawy. Można łatwo sobie wyobrazić korzyść jaką się odnosi mając takie korzenie gotowe w połączeniu doz jakich wymagają różne potrawy.

Dodaje tu więc, iż na funt farszu lub czegoś podobnego należy użyć 3/4 luta soli wymieszanej z korzeniami, czyli 10 gram.

L. C.

## Środki wytopiania moli.

Do doskonałym środkiem przeciwko tak szkodliwym owadom jak mole, jest bez zaprzeczenia „naptalina“, ale tak niemiłego i mdlącego odoru, że nie wszyscy znieść go mogą.

Otóż podajemy przeciwko temu robactwu, środki zarówno skuteczne a nie tyle dla delikatnego powonienia wstrętne.

Rzeczy sukienne skrapiać mieszaniną następującą:

45 gram. czystego kwasu karbolowego,

30 gr. kamfory,

30 gr. olejku rozmarynowego,

5 gr. olejku goździkowego,

5 gr. aniliny. Rozpuścić to wszystko w 2 1/2 litrach ekstraktu octu winnego.

Co do futer, na tę samą ilość octu winnego użyć:

20 gr. czystego kwasu karbolowego,

10 gr. olejku goździkowego,

10 gr. olejku ze skórek cytrynowych,

10 gr. Nitrobenzol,

2 1/2 gr. aniliny. — Płynem tym dobrze rozmieszającym, skrapiać przedmioty za pomocą rozpryskującego narzędzia. Jeżeli mają być zamknięte przez całe lato hermetycznie, jedno skropienie wystarczy. Rzeczy zaś niezamknięte hermetycznie w skrzyniach lub szafach, jak np. w składach sukna, dywany i t. p., należy skrapiać dwa razy w ciągu lata.

Bardzo również korzystnie umieszczać pomiędzy materiałami wełnianymi oraz futrami, woreczki napełnione paczulą.

Z mebli można skutecznie wytopić mole za pomocą częstego kadzenia octem, w tym celu, należy pod meble postawić żelazka rozpalone do czer-



woności i na takowe lać obficie ocet, lub na rozrażone węgle sypać zwyczajne pokruszone tytoniowe liście. Środki te zaleca naukowe pismo niemieckie jako bardzo skuteczne a mniej przykre w zapachu od naftaliny.

### Jak czyścić bukiety Makarta.

Rozwiązuje się bukiety i sortuje rozmaite gatunki roślin; te gatunki, które otrzymały swą barwę przez ręczne farbowanie, kładzie się do odpowiedniego dużego naczynia, z czystą benzyną, płucze się mocno a następnie miękką szczotką od aksamitu ostrożnie się oczyszcza; w benzynie znów płucze się i trzyma aż płyn się ulotni. Inne gałązki i trawy naturalnej barwy układa się w odpowiednie podługowate naczynie, napełnione ługiem z Marsylskiego mydła i czyści tak, żeby każda część z osobna delikatnie przechodziła przez rękę. Ostrożnie ułożone na deskę lub stół, tak długo uderza odkrytą dłonią aż piana ją okryje zupełnie; powtarza się to ze świeżym ługiem do chwili, gdy takowy zostaje czystym a wtenczas płucze się w obfitej, najlepiej źródlanej wodzie, szybko buja gałęzie w powietrzu i suszy się w wielkim ciepłe. Im bardziej jest gorąco, im lepiej rozciągają się niteczki, tem lepiej czyszczą się bukiety.

Po praniu tych bukietów trzeba je nieraz zafarbować, gdyż utraciły swą świeżość, a kwiaty kremowe, blade-różowe, zielone, spłowiały.

W takim razie polecamy wlać do wewnątrz białego, podługowatego naczynia na kremowe krzewy wodę utlenioną (lecz woda ma być zabarwiona bardzo słabo)—na różowe, wyciąg safranu—na zielone, wyciąg metylowego zielonego barwnika przeciągnąć te gałęzie w tych odpowiednich wodach 5 czy 6 minut, wyjąć, wypłukać i wysuszyć przy wysokiej temperaturze. Woda farbowana nie powinna być ciemniejsza; raczej jaśniejsza niż odpowiedni kolor krzewów.

M. I.

### Użyźnianie różanych krzewów.

Dobry a niekosztowny środek użyźnienia krzewu różanego w ogrodzie, jest mydlana woda po bieliznie z prania. Nie powinno się jej nigdy wylewać a o ile można polewać nią ogród, winne krzewy, drzewa owocowe i warzywa wszelkiego rodzaju, jako też na darninę, gdzie wywołuje bardzo pożądaną skutek.

M. I.

### Konfitury z lodyg rabarbarowych.

Jak różnorodny użytek mieć można z lodyg rabarbarowych, dowodem, że oprócz kompotu, marmolady do przełożenia ciasta kruchego i t. p., można robić bardzo ładne konfitury właśnie w Czerwcu kiedy już wszelkie zapasy tychże są wyczerpane. Obrane z włókna lodygi pokrajając na kawałki 3 cent. długie, sparzyć ukropem wrzącej wody i po kilku minutach odcedzić na sicie. Na funt surowego rabarbaru wziąć funt cukru w kawałkach, nalać nie pełną kwatęrkę wody i zrobić bardzo gęsty syrop, wrzucić odcedzone lodygi i trzy razy na dobrym ogniu zaszmarzyć, zdejmując z ognia za każdą razą na 2 minuty, następnie jeszcze z 10 minut smarzyć na wolnym ogniu. Wlać w salaterkę i zostawić do drugiego dnia, wtedy odlać syrop, zagotować żeby dobrze zgęstł, wrzucić cienko skrajaną skórkę z pół cytryny i lodygi, dać się z 10 do 15 minut na wolnym ogniu, smarzyć i konfitury gotowe. Chcąc je za-

chować na zimę, włożyć w kompotyere, obwiązać pęcherzem i wstawić na godzinę pod blachę po zgaszeniu ognia, lub zagotować „au bain marie“ z 15 minut.

L. C.

### Marmolada i sok z lodyg rabarbarowych.

Lodygi rabarbarowe dające tak wieloraki pożytek w kuchni, są nadzwyczaj wodniste, dużo też ich bardzo wychodzi, bo z 2 funt. jest zaledwie pół funta, otóż dla zrobienia marmolady na szarlotkę lub przełożenie ciastek, czy to francuzkich czy z kruchego ciasta, należy, po obraniu włókna i pokrajaniu w drobne kawałki, sparzyć je mocno ukropem. Następnie odcedzić, włożyć w rondel, nalać ciepłą wodą, tyle tylko ile zajmie woda lodygi i kilka razy zagotować. Uformowany płyn odcedzić przez gęste sito, wlać na powrót w rondel, na pół kwarty wsypać pół funta cukru, zagotować, wyszumować, precedzić powtórnie a będzie to bardzo smaczny kwaskowaty sok zastępujący wybornie cytrynę do każdego użytku, nawet przy herbacie i lemoniadzie. Papkę zaś, która już będzie prawie rozgotowana, włożyć w rondel, po wylaniu soku wsypać na półtora funta lodyg, na surowo ważonych, pół funta mialkiego cukru, podsmarzyć aż dobrze zgęstnie na wolnym ogniu, mieszając ciągle łyżką drewnianą, aby nie przywarło do rondla i dobrze się roztało. Gdy zgęstnieje jest to gotowa marmolada do szarlotki lub ciasta. Chcąc ją robić na dłuższe przechowanie, brać na funt pół funta cukru i dłużej smarzyć.

L. C.

### Kilka uwag co do oszczędności ognia i czasu przy prasowaniu bielizny.

Przy praniu wielką rolę gra paliwo, którego oszczędność można powiększyć w kierunku prasowania bielizny stołowej i prześcieradeł, oszczędzając nawet tym sposobem samej bielizny, a co najgłówniejsza, czasu.

Bieliznę stołową nie potrzeba koniecznie całą prasować, jeżeli jest dobrze złożona i wyciągnięta, należy ją tylko bardzo starannie składać, a po zmaglowaniu raz na wałku, wyciągnąć ją z drugą osobą i jeszcze raz przemaglować, a potem złożoną, jak być powinna, z wierzchu przeciągnąć. Serwetki deserowe z frendzlą nie krochmalić albo wcale, albo nadzwyczaj lekko, aby się frendzla nie zlepiła, mokre wieszając roztrzępywać, następnie do magła znowu po sześć sztuk biorąc razem złożone, o stół bijąc, roztrzępać i po zmaglowaniu znowu po kilka razem roztrzępać o stół, wtedy frendzla będzie puszysta i miękka; złożone w trójkąt przeciągnąć żelazem.

Takie postępowanie z bielizną stołową oszczędza pracy i paliwa, a co głównie, nie dozwala bieliznie żółknąć zbyt szybko. To samo stosuje się, a nawet przedewszystkiem do prześcieradeł, ręczników i chustek do nosa.

Prześcieradła po zmaglowaniu, przeciągnięte we dwie osoby i zaraz złożone, przeciągnąć tylko dla równości z wierzchu żelazem. Chustki do nosa i ręczniki, jedna osoba łatwo sama przeciągnie i złoży w kwadrat. Chustki batystowe cienkie, nawet haftowane, należy lekko krochmalić, następnie maglować w prześcieradle złożone i zaraz po maglu nie zbyt gorącym żelazem prasować, znaki i hafty na podłożonej miękkiej flaneli.

Uwagami temi dzielić się z czytelniczkami na zasadzie wieloletnich doświadczeń w tym kierunku, a sądzę, że każda z gospodyń zajmująca się osobicie wydzielaniem pracy służącej, przyzna słuszność moich uwag.

L. C.

### Sos „béarnaise.“

Znowu nazwa francuzka sosu podawanego do befsztyku, kotletów cielecych lub baraniach. Na 4 osoby rozpuścić łyżkę młodego masła, gdy się zagotuje wsypać pół łyżki rumianej mąki (patrz „300 Obiadów“, wydanie 16), zagotować, wsypać siekanego świeżego ekstragonu, w zimie suszonego dwie łyżki bulionu lub cybilisu, wcisnąć pół cytryny, cukru tyle ile ziarno grochu. Rozbić w garnuszku 4 żółtka z pół łyżką zimnego bulionu a gdy rozbite, gotujący sos wlać, wymieszać na gorącym miejscu na blasze aż zgęstnieje, pilnując żeby się nie zagotowało, i polać kotlety.

L. C.

### Pierozki z mięsem.

Taka zwyczajna rzecz jak pierogi, jak można dawać na nie przepis?—nieprawdaż, każda kucharka umie je zrobić. Otóż nie; bywają suche, rozsypane się, twarde, słowem nie dobre. Mięso suche, obeschnięte, daje się na pierogi, trzeba go odświeżyć, to jest włożyć w gorącą wodę, trzymając na tronie najmniej pół godziny. Odświeżone pokrajać drobno i usiekać tasakiem, jeżeli tłuste, cały tłuszcz razem zsiękać, jeżeli zaś chude bardzo, ugotować kawałek młodej słoniny i usiekać razem. Oddzielnie rozgotować na funt mięsa łut bulionu w dwóch łyżkach wody, żeby było nie dużo, w rondelku włożyć łyżkę masła, nie smarząc, rozpuścić tylko, włożyć mięso, wlać bulion, pół małej bułki rozmoczonej na godzinę pierwej w wodzie i wyciśniętej z niej, małą cebulkę upieczoną zupełnie w piecu i roztartą, szczyptę tłuczonego pieprzu, wymieszać doskonale łyżką i w końcu wpuścić jedno żółtko. Nie trzeba wcale tego farszu smarzyć lub rozgrzewać na ogniu, jak to wiele osób czyni, postawić tylko na ciepłym miejscu aby nie stwardniał, bo lepiej robić. Jeżeli jest w domu szpik od mięsa surowego lub gotowany w rosole grzybek usiekać i dołożyć do farszu. Na funt mięsa wziąć funt mąki, choć czasem nie cały wyjdzie, stosownie czy grubsze czy cieńsze, ciasto zagnieść pozostałem białkiem bardzo wolno, bo jak ciasto twarde pierogi pękają; rozwałkować jak najcieniej, układać łyżeczką małą drewnianą kupki w odstępach 2 do 3 cent., założyć na wierzchu ciasto, przycisnąć mocno palcami i gładkim kieliszkiem od wina wykrawać małe pierozki, u każdego oddzielnie ścisnąć brzegi palcami i układać na sito, robiąc dalej. Gdy wszystkie zrobione a jeszcze nie czas gotować, przykryć serwetką umoczoną w wodzie i dobrze z niej wyciśniętą, aby nie przesychały. Gotować na bardzo obfitej wodzie posolonej, wyjmując jak wypłyną łyżką durszłakową na durszlak, aby woda dobrze osiękała, polać młodem masłem, zagotowanym prawie na rumiane, zostawiając odrobinę w rondelku dla wyspania tartej bułki do zarumienienia i polania na wierzchu.

L. C.

### Obiad na Niedzielę.

1. Zupa rakowa.
2. Sztuka mięsa biała, sos szczypiorkowy.
3. Szparagi.
4. Kureczka z mizeryą.
5. Krem czekoladowy.